



DZIENNIKI LANKIJSKIE

Czyli spostrzeżenia z egzotycznej podróży

Styczeń 2014

Dzień pierwszy, czyli noc w Dreamlinerze

Dzień, jak to przed podróżą, był chciał nerwowo. Lekcja angielskiego. Ostatnie sprawy zawodowe. Ostatnie zakupy przed podróżą. Spakowanie i odwiezienie zwierząt. Koperty – testamenty dla Mamy i Maćka, na wypadek gdyby Dreamliner postanowił zgubić coś więcej niż kawałek poszycia po drodze. Korki na mieście większe niż zawsze. Sprawdzenie check-listy przed wyjazdem. Spóźniona taksówka. Taksówkarz strzelający focha przez całą podróż, że za dużo walizek i powinniśmy zamówić większy pojazd (wszystkie mu się zmieściły do bagażnika). Wreszcie – jesteśmy na Okęciu.

Tu – pierwsza pozytywna niespodzianka. Na dwie godziny przed odlotem na odprawie nie ma nikogo, bo... zaczęła się 3 godziny przed odlotem ☺ Hurra! Więc po kwadransie jesteśmy już wolni od walizek, prześwietleni przez celników i snujemy się po strefie wolnoślowej. W końcu nadchodzi chwila boardingu i – jako jedyny z rodziny (poza Igą, ale dla niej to jeszcze bez znaczenia) wchodzę na pokład duuzęgo samolotu. Nie jakiegoś tam Boeinga 737 czy Airbusa 320, ale nówki sztuki Dreamlinera. Maszyna robi wrażenie – nawet w najbardziej plebejskiej (znaczy: ekonomicznej) klasie każdy ma swoje personalne centrum rozrywki: własny monitor, słuchawki, możliwość oglądania iluś tam filmów, nagranych programów telewizyjnych, słuchania muzyki, podłączenia własnego pen-drive, przeglądu prasy, skorzystania z audiobooków, zagrania w gry komputerowe, zapoznania się z historią PLL LOT, wypełnienia ankiety oraz bieżącego śledzenia lotu i jego parametrów na kilku różnych mapach. Plus każdy dostaje kocyc i podusię. Plus catering. Płatny, ale smaczny. Trochę słucham muzyki, trochę śledzę lot, oglądam „Jumę”. Pierwszy raz. Niesamowite doświadczenie. Jak w małych miasteczkach po upadku muru berlińskiego można było zbić fortunę, okradając niemieckie sklepy. No i ten kontekst społeczno-obyczajowy: „mój syn nigdy niczego nie ukradł. On tylko uczciwie jumał Niemców”. „My nie okradamy Niemców, my tylko odzyskujemy to, co zabrali naszym w obozach koncentracyjnych. To akt dziejowej sprawiedliwości”. Niesamowite, jak społeczeństwo 50 lat po II Wojnie ciągle potrafi żyć (być karmione?) przeszłością i ideologią vendetty. To, co widzę w filmie (plus pamięć zdarzeń ostatnich obchodów Dnia Niepodległości), tym bardziej utwierdza mnie w przekonaniu drogi, jaką zmierzam: patriotyzm w rozumieniu przynależności narodowej to nie moja bajka. I moja duma z bycia Polakiem jest zjawiskiem w zaniku. Jestem patriotą w rozumieniu więzi z najbliższą społecznością, z jaką żyję. Czyli z najbliższą rodziną, z którą jestem z wyboru. Czyli z sąsiadami z osiedla. Mam z nimi wspólne cele, potrafimy się wspierać, choć jesteśmy sobie obcy. Jestem – ale już trochę mniej – patriotą w rozumieniu większej enklawy, w jakiej żyję, czyli dzielnicy. Tam staram się robić zakupy, zostawiać większość podatków, wspierać, w miarę możliwości, rozwiązywanie lokalnych problemów. Ale ponad to jestem już kosmopolitą, Europejczykiem, obywatelem świata. Częścią Uniwersum. I tak niech zostanie. Naród powoduje konflikty i wojny. Nie chcę być częścią Narodu.

Poza tym – dużo rozmyślam. Czym dla mnie ma być ta podróż, czego ma mnie nauczyć? W planach był tydzień na Cyprze. Ale wyszły 2 tygodnie na Sri Lance. Dużo drożej, podczas gdy oszczędności są uszczuplone a moja sytuacja zawodowa nie do końca ustabilizowana. Na przełomie listopada i grudnia, gdy w mojej branży jest to „sezon żniw” i taka przerwa jest biznesowym samobójstwem. Czego więc moje Wyższe Ja chce, abym doświadczył w ten sposób? Czy ta podróż odmieni mnie? Duchowo? Zmieni moje podejście do codziennych spraw, tygła w jakim tkwię? Nauczy większej samodzielności i pozwoli mi się spełnić jako freelancer, którym stałem się niedawno? Czy może pchnie na zupełnie inną drogę życia i pracy? Czy to sygnał, że mam zacząć pracę z ludźmi, z leczeniem ich dusz, skoro niedawno mój Komitet dał mi prawo do pracy z ludźmi z użyciem wahadła? Czy uda mi się ograniczyć ilość alkoholu, jaką spożywam? Obiecuję sobie, że na wyjeździe całkiem go odstawię, ale wiem, jak trudno mi to przychodzi. Jak to wreszcie wpłynie na relacje z Agnieszką, które ostatnio są dynamiczne, ale nie do

końca wiadomo, w którą stronę zmierzają? Z Kubą, którego zachowanie ostatnio bardzo mnie denerwuje? Bo z Igą wszystko jest raczej OK.



Pomimo, że śpię może 3 godziny, 9-godzinna podróż mija łatwiej niż myślałam. Dokucza tylko klimatyzacja i suchy ból gardła. Poza tym Dreamliner jest świetny. Niesamowicie cichy, czego doświadczyłem już po kilkakroć z zewnątrz, gdy startował lub lądował nad naszym domem. Ale na pokładzie jest cichszy tym bardziej. No i ma kapitalny, anty-jetlagowy system zarządzania światłem. Kiedy około 2 w nocy (według czasu warszawskiego czyli GMT+1) zaczyna gwałtownie świtać, okna automatycznie ściemniają się, ofiarując nam w

ten sposób prawie 2 godziny dłuższą „noc”. W Colombo lądujemy o 9:00 rano miejscowego czasu. W Polsce jest 4:30 w nocy. A więc zaczynam dzień o czasie, w którym nierzadko w Warszawie dopiero zasypiam. Ciekawe...

2013/11/21

Dzień drugi, czyli Ewa, Colombo i pierwszy kontakt z nową cywilizacją

Pierwszy kontakt ze Sri Lanką przywołuje niestety niezbyt pochlebne skojarzenia z wizytą w Tunezji 4 lata temu. Jest ciepło i wilgotno – to akurat fajne po 3 stopniach powyżej zera przed wylotem. Ale pierwsze zderzenie następuje w lotniskowej toalecie: nadzwyczaj uprzejmy tubyliec – Lankijczyk (wtedy jeszcze nie wiem czy Syngalez, czy Tamil, gdyż dzienniki zacząłem pisać 7 dnia podróży, a wiedzę o kraju Ewa zaczęła w nas wpajać mniej więcej pół godziny po tym incydencie) nie proszony prawie że przytrzymał mi fiuta przy sikaniu, pomógł umyć ręce, podał ręcznik i – no jasne! – wyciągnął dłoń po napiwek. Niestety, ponieważ dysponowałem tylko banknotami po 100 USD obszedł się ze smakiem. Podobnie jak tragarz, który przy autokarze wyrwał mi walizkę z rąk, podtoczył ze 4 metry do kierowcy stojącego przy bagażniku i z równie czarującym uśmiechem jak kolega z toalety zażyczył sobie zapłaty. Od razu przed oczami stanął mi obraz natrętnych Arabów na plaży w Mahdii, gdzie chwilami naprawdę trudno było się przed nimi opędzić. No tak: pierwszy komunikat od Wyższego Ja – cierpliwość i asertywność, to masz w sobie poprawić. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy parę minut później Ewa opowiadała, że tubylcy są mało natarczywi i zupełnie nie mają w zwyczaju targować się na arabską modłę.

No właśnie, Ewa. Ewa to pilotka z biura podróży, która opiekuje się akurat naszym autokarem. Niesamowita osoba. Zrobiła ogromne wrażenie zarówno na mnie, Agnieszce i Idze (jak z Kubą – nie wiem). Piszę to już z perspektywy 6 dni znajomości, ale każdy z nich przynosił dla nas nowe, pozytywne odkrycia. Z wykształcenia psycholog ze stażem w szpitalach psychiatrycznych. Z praktyką z NLP. Z zamiłowania – buddystka, osoba szukająca oświecenia, harmonii ze światem. Zaraża ludzi uśmiechem i optymizmem. Potrafi rozbroić każdą bombę w postaci strzelających fochy uczestników wycieczki (bo jedzenie ma inny smak, bo autobus jedzie za długo, bo korki w Colombo...). Ze swadą, ale bardzo merytorycznie opowiada o miejscach, które odwiedzamy, o historii wyspy i jej legendach. Wie prawie wszystko, a jak nie wie, od razu wspomaga ją lokalny przewodnik Sunil (też ciekawa postać, ale o nim później). A w wolnych chwilach opowiada o tym, co łączy różne religie i filozofie, jak znajdować szczęście i spełnienie w życiu, jak stawiać sobie cele i je osiągać, jak łączyć ezoterykę z fizyką kwantową, jak istotny jest wpływ tego, jak programujemy swoje życie na to, czego w nim doświadczamy, jak nasze nastawienie wpływa na nasze zdrowie... Niezwykle pozytywna postać, i nawet jeśli spotkanie z nią bardziej porządkuje moją wiedzę socjologiczno-psychologiczno-filozoficzno-religijną niż ją pogłębia, to

wiem już, że jest mi to potrzebne, że nawet na to, co wiem, pozwala spojrzeć z innej perspektywy. Jak na przykład opowieść o tym, jak formułować sobie cele. Bo, że mają być SMART, to wiadome. Ale to, że należy je zawsze formułować a) pozytywnie (coś będę robił a nie z czegoś będę rezygnował), b) mają być zawsze zależne ode mnie (nie: „chcę, żeby moje dzieci były szczęśliwe” tylko „aby moje dziecko osiągnęło to i tamto powinienem zrobić to i tamto”), to takie smaczki, które pogłębiają prostą definicję SMART. I że cele należy w sobie programować – powtarzając je codziennie przez 15 minut przez 21 dni. Co najmniej. I najlepiej wprawić się wtedy w stan medytacji, wyobrazić sobie siebie w chwili, gdy cel się ziści. A że medytacja nie jest prostą rzeczą, to należy stosować kamienie (kwarcyty) – bo z jednej strony działają wtedy jak totem, amulet w który „zaklinasz” swoje cele. A z drugiej – mają energię, którą przekazują, ułatwiając dochodzenie do celów. Wyczuwam w niej bardzo doświadczoną duszę.

Samo miasto Colombo zaś... zupełnie nie zachwyca. Miasto ma około 2,5 miliona mieszkańców. Może trudno powiedzieć, że jest slumsem, ale jest po prostu brzydkie. Owszem, ma ładne, nowoczesne centrum, które ciągle się buduje, jest trochę ładnej, postkolonialnej zabudowy, ale głównie straszą pawilony z prefabrykatów, jeden podobny do drugiego, poprzetykane równie brzydkimi „wiejskimi” domkami, wszystko chaotyczne i bez żadnych walorów estetycznych. Za to jest ogólnie czysto.





Obyczaje drogowe – kompletny szok. Miasto stoi, a właściwie przemieszcza się w żółtym tempie w gigantycznych korkach, na ulicach panuje chaos. Wszyscy na siebie non-stop trąbią i zajeżdżają sobie drogę. Pasy na jezdni to chyba pokolonialny przeżytek, bo i tak nikt się nimi nie przejmuje. Przeważają skutery, tuk-tuki oraz publiczne autobusy – mocno wysłużone Leylandy, przy których stary dobry Jelczogórek wygląda nowocześnie. Samochody głównie małe, segmenty A i B, dużo Toyot i Nissanów, ale przeważają lokalne azjatyckie marki: Tata, Bajaj, Mahindra, JAC. Bardzo dużo małych vanów i dostawczaków. Średnia klasa praktycznie niezauważalna, jak już pojawia się coś większego, to jest to luksusowe BMW, rzadziej Mercedes. Do tego wszędzie wałęsają się psy. Psy, które mają na Sri Lance szczególne prawa. Są ich tysiące i w większości są bezdomne. Żyją samodzielnie, ale w symbiozie z ludźmi. Na ogół nikt ich nie krzywdzi, więc z ufnością podchodzą do obcych, dają się głaskać, no i żebrać o jedzenie. No i zalegają dowolnie i bezstresowo na drogach. Pies śpiący, zwinięty w kłębek na środku

drogi krajowej to widok powszedni. Kierowcy owszem, trąbią na nie, ale jak piesek nie zareaguje – zwalniają i grzecznie omijają. W ogóle w tym szaleństwie drogowym, jakie tu panuje, jest metoda. Z tego co mówi Ewa, wypadki drogowe są rzadkością i faktycznie, przez czas podróży widziałem ze 2 drobne stłuczki. Ogólnie obowiązuje prawo klaksonu: kto pierwszy zatrąbi, ten jedzie. Jeśli kierowca naszego autokaru dał sygnał i zaczął wyprzedzać prawą stroną (bo ruch tu jest lewostronny) nie mając szans na zdążenie przed pojazdami jadącymi z naprzeciwka, tamte po prostu grzecznie zwalniały. Bez złorzeczenia, agresji, z uśmiechem na twarzach kierujących. Ot, taka reguła. Do tego na drogach jest mnóstwo policji, która stara się zarządzać tym chaosem. I do tego realnie pomaga. Raz nasz kierowca postanowił zawrócić na ulicy – po 2 pasy w każdą stronę, ale i tak zbyt wąsko, żeby ze skrajnego pasa zmieścić się na przeciwnym skrajnym. Więc na najbliższym skrzyżowaniu pokazał jakieś gesty policjantowi a ten wstrzymał ruch ze wszystkich stron, aby umożliwić manewr.

Zarówno w Colombo, jak i poza miastem jeździ się bardzo powoli. Kraj ma jedną autostradę „nówkę sztukę” otwartą w tym roku, która łączy Colombo z lotniskiem na północy miasta oraz z turystycznym regionem na południu wyspy. Niestety, są to 2 osobne odcinki, przez miasto trzeba i tak odstać w korku. Poza tym drogi krajowe mają standard naszych dróg lokalnych, są wąskie, kręte i prowadzą jak nie przez wieś, to przez dżunglę. No i drogi w górach... to jest dopiero hardcore. Słowacja, Chorwacja, Grecja nie umywają się do tutejszych serpentyn. Góry na Sri Lance mają około 2500 m n.p.m. i zasadniczo wyrastają z płaskiej dżungli. Więc standard drogi krajowej w górach wygląda tak: jazda półką długości 200-300 metrów – serpentyna 180 stopni tak wąska, że autokarowi trudno się wyminąć nawet z tuk-tukiem (ale kto zatrąbi pierwszy, ten jedzie ☺) – kolejna półka 2000-300 metrów – kolejna serpentyna... - i tak kilkadziesiąt razy pod górę, a potem w dół. Odcinek drogi z plantacji herbaty w okolicy Nouwara Eliya do Bandarawela, nie wiem, z 70-80 km jechaliśmy prawie trzy godziny. Na równinach jest niewiele lepiej, średnia wychodziła nam na poziomie 30-40 km/h. Tak tu po prostu jest.

A wracając do Colombo – brzydkie, ale ma swoją duszę. Głośnie, kolorowe, rozedrgane, gwarne, praktycznie o każdej porze doby. Pełne knajpek i sklepików. Pełne posągów Buddy i kościołów katolickich. Zarówno jedno jak i drugie w nocy skrzą się wielobarwnymi neonami, lampkami, migają, błyskają... szczególnie Budda, na tle którego błyska dyskotekowa feeria świateł ku Jego czci, wygląda fantasmagorycznie.

Na Sri Lance żyje około 20 mln ludzi. Z tego ponad 2,5 mln w Colombo. Kraj jest oficjalnie republiką demokratyczno-socjalistyczną. Bardzo zamkniętą na przybyszów z zewnątrz, poza turystami, których przybywa i dla których rozwija się infrastrukturę. Ale własnymi siłami. O obywatelstwo bardzo trudno. Obywatelstwo nie może kupić, chyba że „na słupa”. Socjalistyczne państwo patrzy przez palce na relikty kolonializmu i wyzysk ludzi na plantacjach herbaty (brytyjskich, a jakże). Oraz dba o rozwój religii i inwestuje w budowę świątyń. Taki to socjalizm. Kraj jest wielowyznaniowy. Najlicniejsza grupa to buddyści, przy czym buddyzm nie jest religią a filozofią. Nie ma tam bóstw i bogów, jest czczenie jednego człowieka, Buddy, który doznał oświecenia. Poza buddystami na wyspie spotyka się chrześcijan, hinduistów oraz muzułmanów. Żyjących ze sobą na ogół w zgodzie, pielgrzymujących do tych samych miejsc, jak Góra Adama czy stupa na górze Ambuluwawa koło Gampoli. To takie ichniejsze Częstochowa i Licheń. Tyle, że pielgrzymują tam wyznawcy wszystkich religii. Kraj ma też armię. Zawodową. Ale mniejszościom trudno się do niej dostać, więc służą w niej głównie nie uznający przemocy buddyści. Posiadanie narkotyków jest karane śmiercią – ostrzeżenia widać już na lotnisku. Przy czym nikt jeszcze za to nie został stracony, bo prezydent – buddysta nie podpisuje wyroków śmierci. Wyspę zamieszkują przede wszystkim przedstawiciele dwóch plemion: Syngalezi i Tamilowie. Syngalezów jest większość i na ogół są buddystami. Tamilowie to w większości hinduiści. Przez Syngalezów są traktowani trochę jak pariasi. Na Sri Lance nie ma kast tak jak w Indiach, jednak społeczeństwo jest rozwarstwione i małżeństwa mieszane pomiędzy różnymi grupami społecznymi należą do rzadkości. Do niedawna jeszcze, bo do 2009 roku kraj był ogarnięty wojną domową, Tamilowie mieli własną terror-partyzantkę „Tamilskie Tygrysy”. No i obie nacje wyrzynały się bodaj od

lat 70-tych. Przy czym, w przeciwieństwie do krajów arabskich, istniał niepisany układ: turystów się nie tyka, nie porywa, nie straszy. Tamilowie próbowali nawet powtórzyć wyczyn Osamy Bin-Ladena i zaatakować z powietrza colombijskie World Trade Center (też dwa wieżowce). Skończyło się bitwą lotniczą nad miastem. A w następstwie ofensywą wojsk rządowych i zakończeniem wojny. Więc kraj jest obecnie spokojny. A spokój został okupiony wzrostem cen, zwłaszcza nieruchomości. Co nie wszystkich zachwyca ☺.

Niezwykle uderzające jest jednak podejście Syngalezów i Tamilów do życia – są wiecznie uśmiechnięci i życzliwi. I wyczuwa się od nich taki wewnętrzny spokój, skupienie na chwili obecnej. Choć kraj jest naprawdę biedny. I ciągle nie do końca pozbierany po tsunami z 2004 roku.

Wieczorem postanawiam sobie zrobić mały spacer po mieście, a właściwie przedmieściu Mount Lavinia, gdzie stacjonujemy. Sunil życzliwie doradza mi, abym nie brał zbyt dużo gotówki, jednak wieczorna przechadzka przebiega spokojnie. Jutro ruszamy poznawać wyspę. A teraz – spać.

2013/11/22

Dzień trzeci, czyli Dzień Słonia.

*„I słyszę z nieba głosy, jak gromy. To namiestnik wolności na ziemi widomy.
On to na sławie zbuduje ogromy swojego kościoła. Ponad ludzi i królów podniesiony
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony.
A życie jego – trud trudów. A tytuł jego – lud ludów. Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy
A imię jego – czterdzieści i cztery”.*

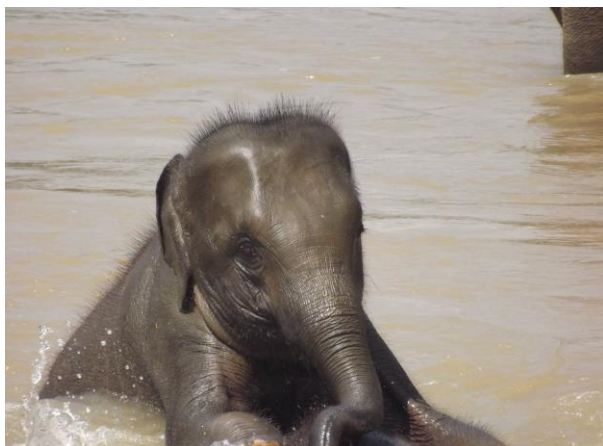
Tak, to właśnie dzisiaj. 44 mi stuka. Agnieszka Janczewska mówiła, że miesiąc-dwa przed urodzinami to najgorszy okres w życiu, sprawy się wówczas komplikują a świat wydaje ponury i zły. By po urodzinach wyprostować ścieżki i rozwiązać problemy. Czy tak będzie i tym razem? Czy ta podróż sprawi, że coś się zmieni w moim życiu, że odnajdę w nim nową drogę, na której będę się czuł szczęśliwy? Czy ten czas po urodzinach natchnie mnie nowymi pomysłami na siebie? Zobaczymy. Wciąż mam mistyczne przekonanie, że skoro jestem teraz tutaj, skoro zdecydowałem się na taką podróż, to nie tylko po to, by poznać nowy kraj, że musi mnie jakoś odmienić.

Wyruszamy z Mount Lavinia rankiem, by natychmiast utknąć w korku w Colombo. To samo wrażenie co wczoraj – hałas, ciągły dźwięk klaksonów, chaos... w którym jednak powoli, ale wszystko zmierza do przodu, każdy osiąga swój cel. My też po półtorej godzinie wydostajemy się z miasta i podążamy w głąb wyspy. Miejska zabudowa ustępuje małym wioszczkom, polom ryżowym i dżungli. Dżungli, która (i jest to spostrzeżenie, które będzie mi towarzyszyć przez całą podróż) jest niesamowita swoim ogromem, ale – nie jest egzotyczna. Poza relatywnie niewielką ilością palm reszta lasu jest łudząco podobna do mieszanych lasów europejskich. Oczywiście drzewa są trochę inne, na przykład w ogóle nie spotyka się brzoź, jednak dżungla wygląda dość swojsko, przynajmniej z okien autokaru.



Około południa docieramy do Pinnawala. I zaczyna się Dzień Słonia. Najpierw przewodnicy prowadzą nas na taras widokowy nad rzeką Ma Oya, w której kilkanaście słońi po okiem paru ludzkich opiekunów zażywa kąpeli. Starsze osobniki dostojnie polewają się wodą z trąb, młode baraszkują, nurkują i podtapiają się wzajemnie. Kilka sztuk stoi przy tarasach widokowych i sępi pożywienie. Turyści wniebowzięci. Lokalesi też, bo za podanie słońowi trawki i namówienie go do sesji fotograficznej inkasują niezłe tipy. Jest obłądnie, a majestat słońi byłby niezaprzeczalny, gdyby nie całkiem frasośliwe zachowanie ichniejszego maślactwa. Potem - przejażdżka na słońiach. Mała I

ma na początku lekko przerażoną minę, jednak zsiada już zachwycona. Ja, cóż... z lekkim przerażeniem uciekam w rozmyślanie, co by było gdyby słoń pode mną postanowił zakłusować. Stęp jest bardzo kołyszący, trzymać się zasadniczo nie mam czego (siedzę na oklep) a do ziemi daleko, oj daleko. Poza tym słoń reaguje na komendy swojego opiekuna, nie na kierowanie z góry. Więc jestem całkiem zdany na jego łaskę. Na szczęście słoń zachowuje właściwe sobie dostojenie i przyspieszać nie zamierza. Za to zatrzymuje się, aby zrobić kupę, co poprzedza dość dziwnym kołysaniem z przodu na tył i z powrotem. No ale na zdjęciach widać na mojej twarzy zadowolenie, nie lęk, więc obawy nie były zbyt silne. Choć jednak wolę wielbłądy :-). No i oczywiście konie.



Po przejażdżce autokar wiezie nas do słonięgo sierocińca. Tak, tak. Słonie, wytrzebione w czasach kolonialnych, są na wyspie przedmiotem szczególnej troski. Rząd stara się zwiększyć ich populację, a zarazem trochę udomowić. Ponieważ młode słońiątko często wpadają do studni na polach ryżowych,

rząd płaci duże pieniądze rolnikom za uwolnienie ich, zamiast zabijania. Następnie słońtka są przewożone do sierocińców takich jak ten w Pinnawala i tam odchowywane. W naturze słońtka przez około 12 lat żywi się mlekiem matki, więc przez właśnie 12-14 lat jest trzymane w sierocińcu i przyzwyczajane do kontaktu z człowiekiem. Następnie niewielka ich ilość trafia do buddyjskich świątyń, trochę do obsługi turystów, a większość jest wypuszczana do rezerwatów. Takie małe słońtka (akurat były okazy kilkumiesięczne) to prawdziwy kosmos. Jest wielkości doga, tyle że 3 razy grubsze. Ma śmieszne, szorstkie i rzadkie włoski na głowach. Jest sympatyczna fajtłapą, która obiera banana ze skórki i wyrzuca owoc, a skórkę gładzie pysiem. Łasi się do ludzi. Iga głaskała je po główkach praktycznie nie unosząc rąk do góry. A jeden z tych słodziaków chwycił trąbą kolorową spódnicę, w którą ubrana była Agnieszka i wsadził sobie do pyska (sukienkę, nie Agnieszkę).

Potem grupa dzieli się; część decyduje się na fakultatywne safari za 70 USD od głowy, część rezygnuje. My oczywiście wybieramy safari, choć jedna strona mojej osobowości źli się, że dodatkowe 300 dolców w plecy. Na szczęście druga, ta niedawno przebudzona wyjaśnia jej skutecznie, że takiej okazji już nie spotkamy, a 300 dolców zarobić w Polsce się da. Jedziemy więc do parku narodowego Minneriya i po bardzo szybkim lunchu wsiadamy do jeepów. Właściwie to chyba Mitsubishi. A może Mahindra. Nieważne. Na pace dwie ławki bokiem dla 6 turystów, wokół nas metalowy stelaż, nad nami niebo zaczyna kapryścić. Pierwszy deszcz na Sri Lance. Ciepły, obfity, choć nie aż tak, jak sobie wyobrażałem tutejsze deszcze. No, ale to nie pora monsunowa. Mimo to na teren parku dojeżdżamy cali mokrzy. Przynajmniej załoga mojego jeepa. Ten, którym jechali Agnieszka, Kuba i Iga zdążył rozłożyć brezentowy dach, więc oni w lepszym stanie. Na szczęście plenery rekompensują wszystko. Witają nas pelikany, małpy oraz natura nie skażona cywilizacją. Jest zielono, parno i mokro, słońce chyli się ku zachodowi więc i kolorystyka robi się niezwykła. Po kilkunastu minutach wjeżdżamy na bezkresną łąkę pełną czego? No słoni, rzecz oczywista. Tym razem jednak dzikich, wychowanych na wolności, nie w rządowych sierocińcach. Jest ich grubo ponad setka, dużych i małych, w grupach i pojedynczo. Dostojnie olewających kilkanaście krążących wokół nich jeepów. Agnieszce udaje się zrobić kapitalne zdjęcie – słonica w ciąży, której obraca się płód i wypycha jeden bok ciała nóżkami, albo grzbietem.



Kolejny słoń, jakby pod publiczność, jak mantrę powtarza rytuał – zbiera trąbą duży kłęb trawy, podnosi lewą nogę, uderza o nią trzy razy trąbą z kłębem trawy, pakuje trawę do pyska. Jesteśmy z 10 metrów od niego, 2 jeepy pełne pokrzykujących ludzi z aparatami, fleszami. A on dalej swoje. Sunil, który jest akurat w naszym jeepie wyjaśnia, że słoń w ten sposób otrzepuje trawę z insektów. W końcu to wegetarianin, robaki nie są w jego guście. Dojeżdżamy na brzeg prześlicznego jeziora, pełnego ptactwa, które też za bardzo się nami nie przejmuje. Dostajemy pozwolenie żeby opuścić wozy. Przewodnicy organizują prowizoryczny poczęstunek – świeżutki ananas. To moje kolejne odkrycie: ananas może być jednak smaczny. My nad jeziorem, a słońce dokoła nas. Nie za blisko, ale gdyby jakimś cudem chciały zaatakować, nawet połowa nie zdążyłaby wskoczyć do jeepów. Jeszcze sesja fotograficzna na tle rzadkiej piękności nieba i słońce chowa się za pobliskimi wzgórzami.



Wracamy. Ponieważ nie ma już czego oglądać, kierowcy robią nam „safari”: w tamtą stronę jechali ostrożnie i z rozmysłem, teraz rozpędem pokonują pagórki i zaliczają wszystkie możliwe bagienka. Znowu pada. Mokrzy i zakurzeni docieramy do hotelu, chyba gdzieś w Dambulli.

Hotel jest trochę bardziej przaśny niż ten z Mount Lavinia, ale mniej-więcej 3 gwiazdki spełnia. Taki trochę przechodzony Campanile. Czyli – super. Doświadczamy ceremonii, która będzie nam towarzyszyć we wszystkich kolejnych hotelach – najpierw drink na powitanie, a potem lokaje roznoszą walizki do pokoi. I kolejne doświadczenie przyrodnicze – na ścianach, sufitach, w zakamarkach – setki małych jaszczurek. Są wszędzie. Jeden z boyów hotelowych pokazując nam je mówi z uśmiechem „no mosquito”. I rzeczywiście, ani tu, ani nigdzie dalej w podróży insekty nie dokuczają nam zbytnio, za to jaszczurki wdzięcznie towarzyszą. Podczas kolacji kolejna miła niespodzianka. O ile rodzina nie pamiętała o moich urodzinach, to Ewa – tak. Jest więc „sto lat” (i szereg kolejnych, obciachowych, okazjonalnych przyśpiewek) od całej grupy oraz lokalny tort. Miły wieczór ☺ W dodatku jesteśmy gdzieś w sercu dżungli, a Internet działa tak szybko, jak jeszcze nigdy w Polsce nie widziałem. Jutro pobudka o 6:00 i wyjazd o 7:00 więc – dobranoc. Pa pa, Dniu Słonia.

2013/11/23

Dzień czwarty, czyli góra i magiczne plemię

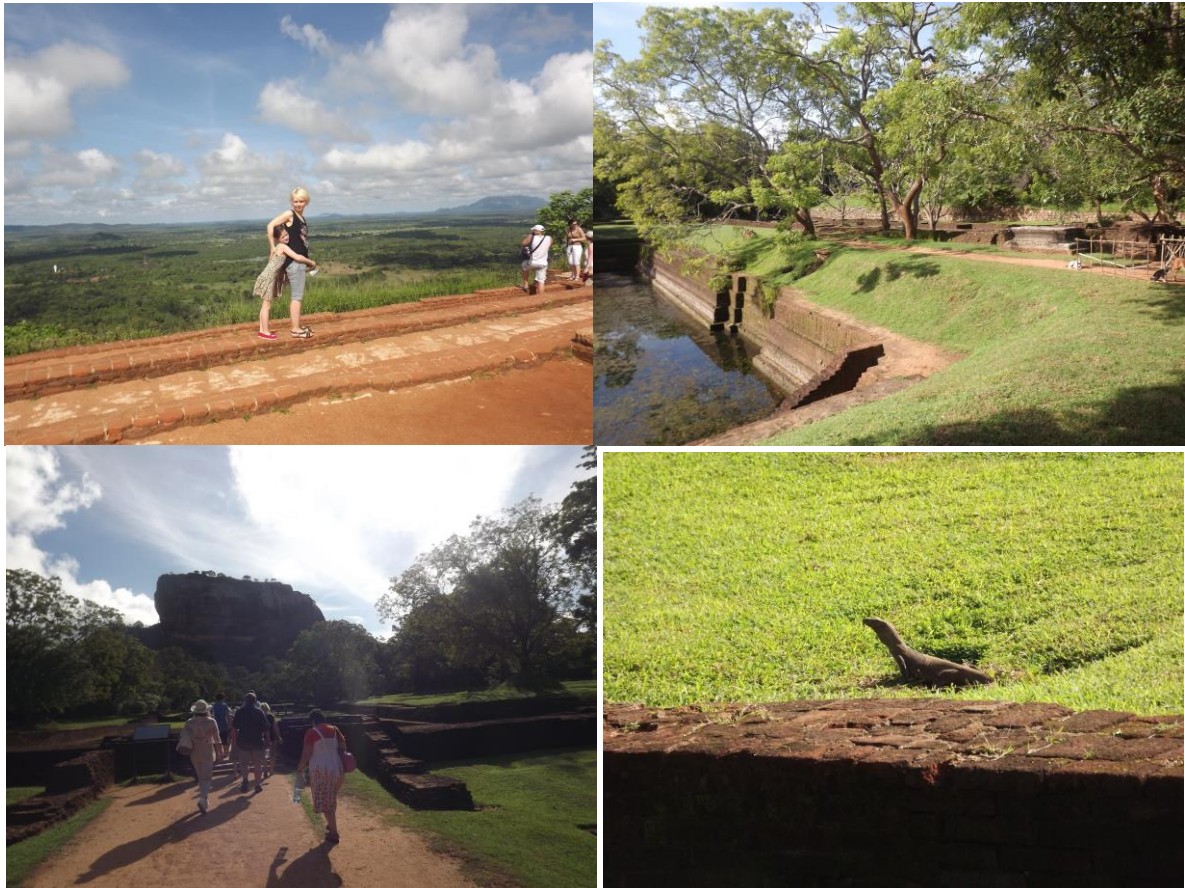
Po musztrze, jaką poprzedniego poranka Ewa urządziła nam w kwestii zarządzania pakowaniem bagaży do autokaru przez hotelowych boyów, wyjeżdżamy prawie nie spóźnieni. Przed wyjazdem ogarniam

jeszcze kilka fotek – nasz hotel, jak się okazuje za dnia, jest pięknie położony nad otoczonym niskimi górkami jeziorem.



Po kilkunastu minutach zjeżdżamy z drogi „krajowej” na lokalną odnogę, podobno niedawno wyciętą przez środek dżungli. I faktycznie, jedziemy przez takie jakby lokalne Bieszczady, tylko z roślinnością trochę bardziej egzotyczną. Tu nie ma sierocińców i rządowej opieki dla słoni. Tutaj między słoniami i ludźmi trwa wojna. Ludzie wydzierają słoniom dżunglę na pola ryżowe i drogi. W zamian za co słonie atakują ich i zabijają. Zabójstwo przez słonia to najczęstsza przyczyna śmiertelnych wypadków na Sri Lance. W drugiej kolejności są węże. Wypadki drogowe – hen hen daleko, chociaż wszyscy jeżdżą jak wariaci. Może nie za szybko, ale tak, że nawet polski prowincjonalny mistrz kierownicy w dresach zesrałby się ze strachu do wnętrza swojej stuningowanej beemki. I dobrze by mu tak było.

Po jakiejś godzinie jazdy docieramy do góry Sigiriya. To magmowa, goła skała wulkaniczna, wyrastająca z ziemi na prawie 400 metrów. Na jej szczycie, w V wieku naszej ery lankijski król Kassjapa wybudował pałac i twierdzę zarazem. Na jedynej ścieżce na samą górę wybudowano coś na kształt bramy umieszczonej wewnątrz paszczy wykutego w skale lwa (do dziś zostały tylko lwie stopy). Na skalnych ścianach góry zachowały się portrety niektórych z jego 500 żon (portret miała każda, tylko nie wszystkie przetrwały). Na szczycie, poza budynkami, były wielkie, odkryte baseny. A pod górą – piękne ogrody, otoczone warownym murem. Ponieważ Kassjapa cierpiał na lęk wysokości, większość podejścia na szczyt ma zbudowany sztuczny murek, by władca nie musieć patrzeć w dół. Ta marmurowa ściana w czasach Kassjapy była tak wyglansowana od wewnątrz, że imitowała lustro, aby optycznie poszerzyć ścieżkę. Więc kontakt z przedwieczną cywilizacją naprawdę robi wrażenie. Przechodzimy przez ogrody, fotografując po drodze leniwe gekony i rozpoczynamy wspinaczkę. Kuba zostawia nas w tyle, Iga marudzi trochę, ale dzielnie osiąga szczyt. Ja też, z lekką zadyszka, bałem się, że będzie gorzej z moja obecną nadwagą. Widoki zapierają dech w piersiach. Gdzie nie spojrzeć – dżungla, dość gęsto przetkana jeziorami. Co warto wiedzieć – na Sri Lance jest kilkanaście jezior, a żadne nich nie jest zbiornikiem naturalnym. Wszystko jest dziełem ludzkim, a niektóre pochodzą nawet z 1 wieku naszej ery. Ponad dżunglę wystają tylko 3 rodzaje obiektów: słupy energetyczne, maszty GSM oraz olbrzymie, kilkupiętrowe posągi Buddy, widoczne ze szczytu gołym okiem w oddali.

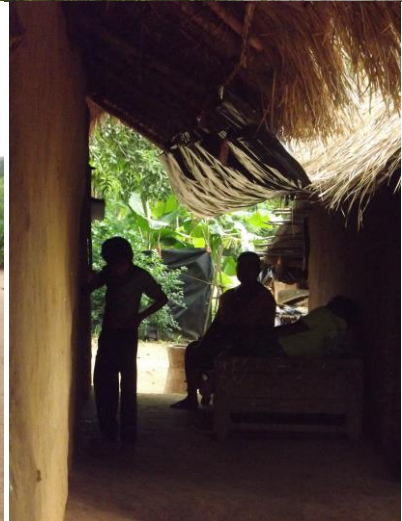


To, co zaskakuje poza historią i plenerami na szczycie magmowej skały z jednym sztucznie wykonanym przez człowieka dojściem, to obecność psów. Które wymyśliły że się tam osiedlą i będą regularnie wchodzić i schodzić po wielu setkach schodów. Na szczycie są ruiny pałacowych basenów. Na dnie jednego z nich w kawałku cienia śpią cztery szczeniaki. Nie dość, że nie wiem, jak stamtąd wyjdą, to dodatkowo nie mogę uwierzyć, że ich matka schodzi do nich i wraca kilka razy dziennie. Na szczycie doznaję dziwnego, ale potężnego lęku. Bez obawy oglądam świat naokoło góry. W zasadzie bez obawy spoglądam w dół. Ale na widok lgi pochylającej się nad krawędzią basenu nad śpiącymi na dnie szczeniakami, strach chwyta mnie za gardło. Łapię ją za rękę i odciągam od krawędzi, czując zimne poty na plecach. Czy to efekt wizji jednego z moich poprzednich wcieleń, gdy dokonałem samobójstwa skacząc z nadmorskiej skały w otchłań? Czy wspomnienie kąpieli, jakiej lga doświadczyła w stawie zimą, gdy nie utrzymała równowagi pochylając się do płynących kaczuszek? Czy po prostu zwykła troska o własne potomstwo? Nie wiem, ale lęk i niepokój są ogromne, jakby przedwieczne.

Po krótkim odpoczynku schodzimy w dół. Jeszcze obowiązkowe focie z węzami (których właściciel jest wyraźnie niezadowolony, że dostał tylko 500 rupii napiwku) i jedziemy dalej.



Kolejny etap to wioska Weddów. To plemię określane mianem lokalnych Aborygenów. Podobno do dziś nie ustalono jednoznacznie, czy są przedstawicielami Białej, czy Czarnej rasy. W każdym razie mają na wyspie szeroką autonomię, nie muszą uczęszczać do szkół, żyją w kilku rozszaniach po dżungli wioskach, oderwani od cywilizacji, w zgodzie naturą. Nie wiadomo do końca jak, bo dla turystów jest wyznaczona zamknięta zona, a lankijskie władze, jak nie muszą, nie ingerują w ich życie. Pierwszy punkt wizyty to audyencja u króla. Starszy pan, niezwykle uprzejmy, wita się z każdym turystą osobno. I przez pół godziny cierpliwie odpowiada na pytania. Wbrew pozorom, jest człowiekiem „światowym”, kilka razy opuszczał wyspę by uczestniczyć w konferencjach organizowanych na rzecz różnych ludów pierwotnych. I ma swoją wiedzę o życiu, świecie, cywilizacji. Opowiada o negatywnych skutkach konsumpcjonizmu i chciejstwa, o tym, że ludzkość nieustannie dąży do zaspokojenia potrzeb swojego ego, żądając ciągle nowych, niepotrzebnych gadżetów, których produkcja dewastuje planetę. A Weddowie żyją tym co mają, jedzą to, co zasieją i zbiorą albo upolują, są tu i teraz. Nie mają pokus, są (podobno) szczęśliwi. Piszę „podobno”, ale jestem w stanie w to uwierzyć. Choć endogeniczność ich kultury zaczyna pękać. W tym roku po raz pierwszy turyści mogli zobaczyć weddyjskie kobiety. Od kilku lat roztawiają dla turystów kramiki, na których sprzedają swoje produkty: miód, owoce, nalewki, rękodzieło. Więc lekki flirt z cywilizacją zachodu rozpoczęli i oby umieli zachować do niej dystans. Do tego Weddowie są ładni. Król i synowie są bardzo przystojni i zadbani, a kobiety, pracujące w polu, mają bardzo ładne twarze i smukłe figury. Dzieci – prześliczne. Podobnie jak koty, które Igę interesują najbardziej 😊. Kolejnym punktem wizyty jest pokaz ich (Weddów, nie kotów) obrzędów. Zostajemy zaprowadzeni na leśną polanę, na której ma się odbyć spektakl. Niebo jest pochmurne, a jeden z gospodarzy sugeruje, aby przenieść ceremonię do domu dla gości, gdyż zaraz spadnie deszcz. Deszcz zaczął padać nim ruszyliśmy z polanki. Chociaż szliśmy przez dżunglę, pod osłoną drzew, dotarliśmy przemoczeni do nitki. Niebo po prostu urwało się na nas. Mała I wpada w straszną histerię. Ona jednak coś ma nie halo z wodą w takiej postaci. Czyżby aż tak zapadła jej w pamięć burza, która dopadła nas pod domem, gdy mieszkaliśmy w Józefosławiu? Wtedy też przemokliśmy w ułamku sekundy, ale Iga jeszcze jeździła w wózku, więc to musiało być z 6 lat temu.



No ale nic, docieramy do domu dla gości, oglądamy ceremonię. Ja z Kubą dla zabawy pijemy deszczówkę sphywającą ze słomianych dachów. Słodka, dobra ciepła woda. Ceremonii za bardzo nie chcę opisywać, ot lokalna „Cepelia”, ale na pewno ciekawsza i bardziej naturalna od występów w turystycznym skansenie w Bułgarii, jakich doświadczyliśmy 3 lata wcześniej. Wreszcie, ciągle jeszcze mokrzy, wsiadamy do autokaru i ruszamy w długą podróż do kolejnego hotelu. Podróż męcząca. Wszyscy są mokrzy i parują. Klimatyzacja w autobusie pracuje na maksa, więc marzniemy w mokrych ciuchach. Na prośbę Ewy kierowca wyłącza klimę, w wyniku czego autokar paruje od środka i utrudnia kierowcy pracę. A wjeżdżamy w góry. No więc bujamy się tak po serpentynach, raz marznąc, raz siedząc w ciepłe, ale ryzykując upadek z górskiej ścieżki. Niektórym puszcza nerwy. Jakaś pani zaczyna

obwinać biuro podróży: „wszyscy to kłamcy i złodzieje i to jest NIEPROFESJONALNE” gdyż podróż trwa jakieś 20 minut dłużej niż Ewa zaanonsowała. Inny pan, mający za sobą przeszłość kierowcy TIR-a opowiada różne historie z przejazdów przez Alpy, opisuje typy hamulców; wszystko, aby uspokoić atmosferę, jednak mimo to pan siedzący bezpośrednio za mną przy każdym zakręcie i hamowaniu kaszle nerwowo. I tak z półtorej godziny. W końcu jednak bezpiecznie wjeżdżamy do Krakowa. Znaczą do Kandy.

Wyjechałem z tym Krakowem, bo podobieństwo obu miast jest duże. Kandy przez wiele lat było stolicą kraju. I skupiskiem lokalnej syngaleskiej inteligencji i arystokracji. Obu tych insygniów miasta pozbawili obcy, w tym wypadku Anglicy. To za ich panowania przeniesiono stolicę z Kandy. A jeden lokalny brytyjski gubernator nakręcił intrygę, która wywołała konflikt, który z kolei posłużył mu za pretekst do wyrznięcia owej arystokratyczno-inteligenckiej warstwy społecznej w pień i umocnienie brytyjskiej władzy. Ale wszystkich wyrznąć mu się nie udało. Z grupy tej pochodzi Sunil, nasz lokalny przewodnik. I z jego wypowiedzi słychać, że jest taki trochę konflikt między Kandy a Colombo jak między Krakowem a Warszawą. Poza tym Sunil bardzo starał się, żeby wszystko, czego doświadczamy w Kandy było jak najlepsze, gdyż nie ma znaczenia, jakie wrażenia jako turyści wyniesiemy ze Sri Lanki. Ważne jest, jak zapamiętamy Kandy ☺. No, ale dziś nie zapamiętamy zbyt wiele. Jest już ciemno, parkujemy pod hotelem a mnie żołądek zaczyna buntować się na lankijską kuchnię i nie czuję się najlepiej. Po zgrubnym ogarnięciu rzeczywistości (zostajemy tu na 2 noce) idziemy na kolację, którą ledwie tykam, za to po raz pierwszy, odkąd jestem na wyspie, zamawiam sobie piwo. Niby na rozgrzewkę po przemoknięciu u Weddów i przemarznięciu w autokarze. Wypijam jedno. Jest smaczne, ale kompletnie nie mam ochoty na kolejne. Cudownie. Czyżby jakiś przełom z moim nadużywaniem alkoholu? Robię jeszcze zakupy w pobliskim odpowiedniku Lidla (ten sam sok, który kupiłem w Mount Lavinia teraz kompletnie mi nie smakuje, jest przesłodzony, sztuczny, ohydny). Odpadam spać z bólem brzucha i chyba lekką gorączką.

2013/11/24

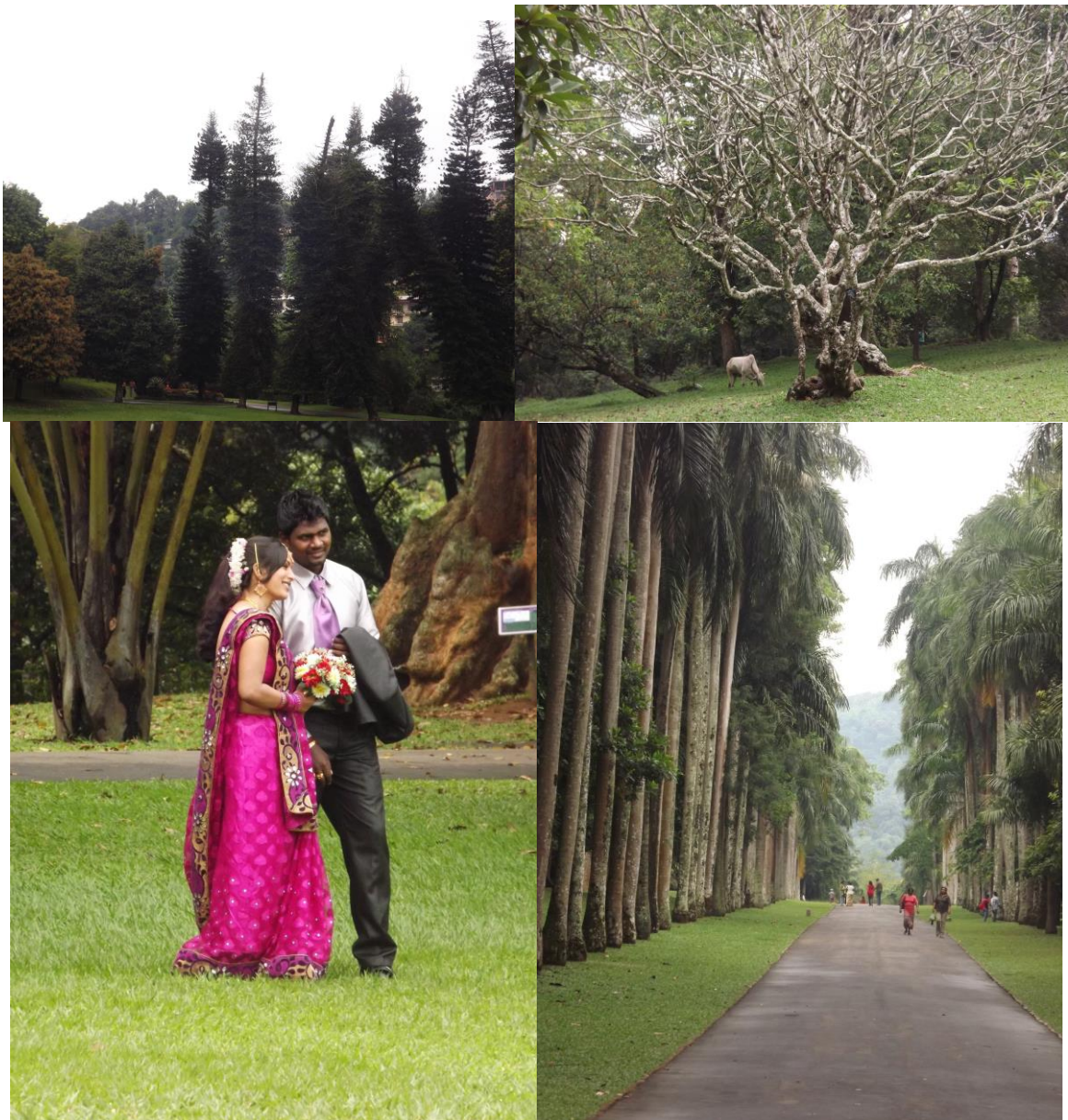
Dzień piąty, czyli dzień Buddy, flory i lokalnej cepelii

Rano stan mojego żołądka nie jest nic a nic lepszy. Czyli, trzeba sobie zrobić dzień głodówki. Na śniadanie wciskam w siebie jakiś owoc i kawę. Na luzie, bo bez pakowania walizek, wsiadamy do autokaru i ruszamy na zwiedzanie miasta Sunila. Punkt pierwszy – fabryka szafirów. Oglądamy film, jak szafiry wydobywa się z ziemi. Okropna, niewolnicza praca. Potem przewodnik opowiada nam, jak się obrabia i szlifuje kamienie, czym różnią się od siebie oraz jak odróżnić prawdziwe kamienie, wydobyte z ziemi od tych syntetycznie stworzonych przez człowieka. Jak się okazuje, metoda jest prosta. Syntetyki są idealnie doskonałe, prawdziwe kamienie zawsze mają skazy. Tak... jeśli coś jest realne, nie może być idealne. Ideał zaś nie jest prawdziwy. Każdy z nas ma jakieś skazy, które czynią go prawdziwymi. Nie jest źle dążyć do ideału, stawiać sobie jakieś ambitne cele i je osiągać. Ale trzeba umieć zachować do tego zdrowy dystans. Nigdy nie osiągniemy ideału. A jak byśmy go osiągnęli, staniemy się sztucznym tworem, bo tylko one wad nie mają. Warto o tym pamiętać.

Po części teoretycznej, omówieniu procesu produkcji, zobaczeniu jubilerów obrabiających kamienie zaczynają się zajęcia praktyczne czyli – przyfabryczny sklepik. Cała rodzina w zachwycie. Mała I chce nowe kolczyki. Niestety, te które jej się podobają, kosztują 25 tysięcy rupii, czyli jakieś 200 dolarów. Odmawiam asertywnie i po raz pierwszy doświadczam tego, jak bardzo skrzywdzona może czuć się kobieta (nawet tak mała), gdy odmawia się jej biżuterii. To nie jest foch. To prawdziwy smutek i łzy w oczach. Co gorsza, humoru nie poprawiam jej po wyjściu z fabryki, gdy dopada nas tłum lokalnych sprzedawców zabawek wciskających jakieś odpustowe gówna. Niedawno mała I zawarła z Agnieszką

umowę, że chce małą kokosa jako prezent z wyjazdu. I mamy ją kupić po południu, jak będzie czas wolny. Więc odmawiam kupienia jakiejś innej zabawki. Lokalesi bardzo naciskają, tuż przed odjazdem autokaru schodzą z ceny o dobre 60%. A ja – jak głaz. A Iga – niepokieszona.

Po fabryce zwiedzamy ogród botaniczny. Jest przepięknie. Szczególnie silne wrażenie robią na mnie iglaste drzewa, które pod wpływem warunków atmosferycznych rosną nawet nie ukośnie – ich pień przypomina spiralę. I jest ich cała aleja, kilkadziesiąt sztuk. Inne drzewa i krzewy też są śliczne. Podobno, jak mówi Sunil, chcąc pochwalić się swoją znajomością polskiego i wiedzą o naszym kraju – jedno z drzew zasadził sam Józef Cyrankiewicz. Ale grupa jakoś nie reaguje entuzjastycznie na tego newsa. Poza tym z przyjemnością obserwujemy młodą parę, która robi sobie w ogrodzie sesję fotograficzną.



Wkrótce docieramy do pawilonu, w którym jest hodowla orchidei. Wrażenie obłądne. To niesamowite, jak piękne wzory potrafią tworzyć kwiaty. Trudno porównać ich piękno z czymkolwiek innym.



Kolejny etap to fabryka i sklep mebli oraz tkanin. Tam zostajemy poddani pokazowi tworzenia kolorów farb. Widzimy, jak z wykorzystaniem wyłącznie naturalnych barwników (soki owocowe, ziołowe i warzywne), powstają różne barwy. Wszystkie meble i tkaniny w tym sklepie są farbowane wyłącznie naturalnie. Jeden z pracowników maluje Idze na dłoni słonika. Do dziś żałuję, że nie dałem mu za to napiwku. Bardzo się starał, był miły i się nie upominał, a ja jakoś nie wyczułem klimatu...



Po pokazie rodzina wpada w zakupowy szal - gadżety, ozdoby. Agnieszka i Kuba kupują na potęgę. Ja, ciągle słabo się czując, siadam na szezlongu i kontempluję meble. Gdybym miał w bród pieniędzy, kupiłbym chyba połowę tego sklepu i sprowadził do domu. Te meble i ozdoby są po prostu re-we-la-cyj-ne. Ale ponieważ środki mam jednak ograniczone, kupuję tylko brelok ze słoniem. A właściwie

słonicą. Jej ciało jest ażurowe, a wewnątrz widać płód – małe słońce. I to wszystko wyrzeźbił człowiek... Moje Wyższe Ja akceptuje brelok jako wahadełko, więc kupuję bez namysłu.

Potem udajemy się na lunch. Czyli, w moim przypadku kawę. Za to w restauracji spotykamy buddyjskich mnichów. Wyglądają niesamowicie. Ludność wyspy ubiera się raczej w sposób stonowany. Nawet, jeśli koszule czy kobiece stroje są pstrokate, to ich barwy są stonowane i raczej ascetyczne. Tymczasem mnichowie – intensywnie pomarańczowe szaty. I pełen szacunek wyrażany przez okoliczną ludność. Wreszcie autokar odwozi nas do hotelu. Mamy chyba ze 2 godziny wolnego, nim udamy się do największej świątyni Buddy na wyspie. Ja wyruszam po zakupy. Mam obtarte nogi, sandały (chyba 15-letnie) mi się rozpadają, trzeba zrobić z tym porządek. Więc wstępuję do sklepu obuwniczego przy głównej ulicy w centrum Kandy. Opuszczam go po kwadransie, bogatszy w nowe sandały i klapki i w sumie zubożony o jakieś... 35 złotych. Ciekawe, czy nowe sandały też przetrwają 15 lat? Raczej na takie nie wyglądają. Nieważne, grunt, żeby wytrzymały półtora tygodnia, do końca pobytu. Włóczę się jeszcze po lokalnym targowisku, zwiedzam ekskluzywny dom towarowy i... mój organizm zaczyna się domagać jedzenia. A konkretnie – wielkiego ciastka. Na nic innego dalej nie mogę spojrzeć. Jednak żadne ciasto w pobliskich cukierniach i piekarniach mnie nie zachwyca. Postanawiam więc wytrwać głodny do regularnej kolacji, czyli jeszcze ze 4 godziny. Przez myśl przechodzi mi za to kupienie sobie piwa. W autokarze Ewa wyjaśniła nam, że zakupy alkoholu na Sri Lance przypominają trochę te w krajach arabskich. Sklepy z alkoholem są ukryte. W supermarkecie nie ma nic, ale trzeba wejść od podwórka i tam będzie wydzielone, niewidoczne z ulicy stoisko. Więc wchodzę w podwórko. Natychmiast dopada mnie tubylec, który za wskazanie mi stoiska (jakbym sam nie widział...) proponuje, żebym postawił mu browara. Na stoisku jest brudno, dokoła śmierdzi, a ten gość o proweniencji menela patrzy na mnie z nadzieją w oczach. Nic z tego. Zawracam, nie sprawdzivszy nawet z ciekawości cen. Może napiję się piwa do kolacji, zobaczymy.

Wreszcie wyruszamy na spacer do świątyni. To najważniejsze miejsce kultu Buddy na wyspie. W świątyni przechowywany jest (podobno) niezwykły artefakt – prawdziwy ząb Buddy. Straż sprawdza, czy mamy zakryte ramiona i kolana (jeśli nie, nie wpuszczą nas) oraz nakazuje zdjąć buty. Świątynia jest piękna, zachwyca bogactwem form i barw. Przywodzi na myśl barokowe kościoły w Polsce, tyle, że ten przepych formy jest tu taki bardziej swojski, ludyczny. Mniej monumentalny. Zanim wejdziemy, zatrzymujemy się przed pomnikiem młodego chłopca, a Ewa opowiada nam jego historię. Ponad tysiąc lat temu, w trakcie jednej z nielicznych na wyspie wojen, jedyny naprawdę zły władca (nie licząc owego brytyjskiego gubernatora, który doprowadził do pacyfikacji Kandy) postanowił wymordować całą rodzinę swojego konkurenta. W tym kobiety i dzieci. Jeden z synów pokonanego władcy bardzo bał się umierać i płakał. Jego straszny brat, ten z pomnika, jako pierwszy dobrowolnie poddał się egzekucji, pocieszając po drodze płaczącego i innych pobratymców, tłumacząc im, że nie można bać się tego, co nieuniknione. Być może opowiadam tą historię niezbyt dokładnie, jednak piszę to wspomnienie dobry miesiąc później.



Po świątyni przychodzi pora na miejscową Cepelię, czyli występy taneczno-wokalne w kandyjskim domu kultury. Muzyka jest głównie perkusyjna, ja mam zjazd i o mało nie uspiam (a szczerze mówiąc, zaliczam parę kilkusekundowych drzemek – odjazdów), ożywiam się trochę podczas pokazu chodzenia po rozgrzanych węglach. Tu kolejna refleksja. Ewa, poza byciem pilotką wycieczek, psychologiem i trenerem NLP, jest także instruktorem fire-walkingu. Więc nie dość, że sama potrafi podobno chodzić po rozgrzanych węglach, to jeszcze uczy tego w Polsce innych. No i super. Ja ostatnio jestem bardzo otwarty na nowe światy i doznania, ale to chyba jeszcze nie dla mnie. Przypomina mi się sytuacja sprzed jakichś 15 lat, kiedy ojciec Kuby zabrał go nad polskie morze. Po dwóch czy trzech dniach musieliśmy go w trybie pilnym od ojca odebrać, gdyż ten postanowił właśnie (będąc jedynym opiekunem 3-latka) spróbować chodzenia po rozgrzanych węglach i w efekcie, na skutek oparzeń, na wiele dni unieruchomił się w łóżku. Więc na razie nie podążę tą drogą.

Po zaliczeniu Cepelii Kuba idzie w miasto, Sunil zabiera Agnieszkę z grupką innych turystów na masaż ajurwedyjski, a ja z Igą, wyposażoną wcześniej przez Sunila w jakąś lokalną zabawkę, wracam do hotelu. Spotykamy się wszyscy na kolacji. Agnieszka jest zachwycona masażem (dopiero w Negombo dowiem się w szczegółach dlaczego), lśni się olejkami i ślicznie pachnie. Kuba jest zadowolony z wyprawy w miasto; podobno kilku dealerów chciało mu tanio sprzedać haszysz. Podobno nie kupił. Ja jestem zadowolony, bo wreszcie coś zjadam, choć staram się zjeść jak najmniej. Do Igi podchodzi Ewa i... wręcza jej kolczyki. Nie te za kilkaset dolarów. Pewnie kosztowały z dziesięć. Ale Iga odlatuje ze szczęścia. Tatuś odmówił, pani Ewa dała. Uśmiech mało buzi nie rozerwie. Cóż... muszę przywyknąć, że Ewa i Sunil na zmianę rozpieszczają Igę, codziennie wręczając jej jakieś drobne upominki. Ale, jak tłumaczy mi Ewa, dla nich dziecko na takich objazdowych wycieczkach to rzadkość, podobno Iga jest dopiero czwartym przypadkiem w tym roku. Więc Boże broń, żeby im za te gify oddawać, im to rozpieszczanie naprawdę sprawia przyjemność. Szczególnie, że Iga jest przez cały wyjazd super grzeczna i bardzo dzielna. No a dla Syngalezów mała, biała dziewczynka to widok rzadki i niemal boski. Okej, niech więc rozpieszczają...

2013/11/25

Dzień szósty, czyli wierzchołek świata, rafting i herbata

Tego dnia wyjeżdżamy z hotelu bardzo wcześnie, bo o 7:00. Iga przy śniadaniu biega od stolika do stolika i pokazuje całej grupie nowe kolczyki od Ewy. Ruszamy i żegnamy się z Kandy, oczywiście potakując na pytania Sunila (niektórzy z „entuzjazmem”, niektórzy z entuzjazmem), że miasto jest piękne a pobyt był cudowny. Zaczynam też coraz lepiej rozpoznawać ludzi z naszego autokaru. Agnieszka zawarła znajomość z bardzo sympatyczną parą z Płocka, Moniką i Kubą. Nie wiem, co robi Kuba, ale Monika jest fryzjerką i właścicielką salonu, który powstał niemal dokładnie w miejsce tego,

w którym od dziesięcioleci strzygła się i czesała moja płocka część rodziny. Więc kilkakrotnie do końca objazdu sympatycznie rozmawiamy sobie o Płocku. A ja wiem, że jak będę tam przy najbliższej okazji, na pewno Monikę znajdę i wproszę się na kawę.

Pierwszy etap podróży jest bardzo krótki. Po ledwie półgodzinie dojeżdżamy do miasteczka Gampola. Tam przesiadamy się w rozklekotane vany, które wwożą nas po serpentynach na górę Ambuluwawa. Po raz pierwszy pokonujemy górską drogę na wyspie za dnia i jest to duże przeżycie. Ostry podjazd w prawo, nawrotka 180 stopni, ostry podjazd w lewo, nawrotka 180 stopni i tak kilkanaście razy, aż wjedziemy 700 metrów na szczyt. Autokar by nie podjechał – za wąski, za ostre podjazdy. W naszym vanie z napędem 4x4 dyfry aż rżęzą. Miałem okazję jeździć jako kierowca po serpentynach słowackich, chorwackich i kretejskich. Bywało hardcorowo, ale zawsze czułem, że kontroluję sytuację. Tu jestem pasażerem, ale po tym co widzę, nie chcę się zamieniać na miejsca. (Popołudniowy przejazd przez Nouwara Eliya) utwierdzi mnie w tym przekonaniu. No ale wreszcie wjeżdżamy na szczyt i... widoki po prostu zapierają dech w piersiach. Dokoła nas góry, które dochodzą do 2000 m. n.p.m. Wysokie, ale zarazem o liniach łagodnych jak bieszczadzkie połoniny. I wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, soczysta, głęboka zieleń. Pod nami pasemka białych chmur na tle zieleni lasów i rzadkie mgły. Zero górskiej dostojności i grozy. Wszędzie łagodne, harmonijne i zarazem majestatyczne piękno. Ale cel dopiero przed nami. Na szczycie góry stoi Ambuluwawa Tower. Piękna, lśniąca bielą jak mury Minas Tirith stupa, czyli rodzaj obelisku ku czci Buddy. Ma na oko z 60-70 metrów wysokości. Do połowy posiada przekrój walca, by powyżej przekształcić się w bardzo wąski stożek, otoczony na zewnątrz schodkami wspinającymi się po spirali ku samemu szczytowi. Wierzchołek, do którego dociera spirala schodów, ma może ze 3 metry szerokości. A może i mniej. I tam możemy wejść. Jednak po drodze trzeba zaliczyć kolejną niespodziankę. Aby z parkingu dostać się do podnóża stupy należy przejść „Ścieżką Węża” - labiryntem ciemnych korytarzy wykutych w szczycie góry. Miejscami nic nie widać, trzeba trzymać się ściany, aby nie zgubić drogi. Wszyscy dzielnie pokonujemy labirynt i rozpoczynamy wspinaczkę. Dopóki schody są wewnątrz stupy, jest okej. Na zewnątrz, im węższa się robi galeryjka, tym mocniej odzywa się we mnie potężny lęk wysokości. Lęk niemal przedwieczny, jakby utrwalony w setkach poprzednich wcieleń. Zmagam się z nim, jednak prę do góry. Po drodze, wewnątrz stupy są wykute małe jaskinie, góra na 2-3 osoby; to mijanki, gdyż schody są tak wąskie, że nie dają szans na wyminięcie się dwóm nawet szczupłym osobom. Niestety, jakieś 3-4 spirale do samego szczytu muszą odpuścić. Mój brzuch wraz sakiewką na pasku nie jest się w stanie przepchnąć przez przewężenie schodów. Zawracam, dość mocno rozczarowany sobą. Prawie osiągnąłem szczyt. Prawie... Nie osiągnąłem celu przez swą otyłość. Wkrótce jednak znajdę coś w rodzaju pocieszenia – Agnieszka i Kuba, choć o sylwetce i wadze perfekcyjnych, też muszą zawrócić 2 zakręty powyżej mnie. Dla nich też robi się za wąsko. Szczyt stupy osiągnie wyłącznie Iga. W kłapkach; sama pozbawiona jakiegokolwiek lęku, a ja czuję gulę w gardle ze strachu o nią; w tych kłapkach wielokrotnie się potykała, a poręcz na schodach bardzo jest niska. Już niemal widzę jej zwłoki pod stupą. Na szczęście wszyscy cało i bezpiecznie schodzimy pod stupę na szczyt góry. Ale moje lęki są tak wielkie, że czuję, iż sięgają w głąb mej duszy, do poprzednich wcieleń, jednak nie potrafię ich jednoznacznie odkryć.



Gdy niebezpieczeństwo mija, odkrywam kolejny aspekt niezwykłości tego miejsca. Jesteśmy w miejscu, które jest celem pielgrzymek wszystkich religii reprezentowanych na wyspie. Choć nie ma tu żadnych wyraźnych symboli, na Ambulawawę pielgrzymują buddyści, chrześcijanie, hinduiści i muzułmanie. Każdy z nich znajduje tu spełnienie. A obiekt został odrestaurowany za pieniądze socjalistycznego państwa jakieś 5-6 lat temu. Po to, by odciążać główne miejsce ekumenicznego kultu na wyspie, czyli Górę Św. Adama. By stworzyć na niej alternatywę, która da pielgrzymom większy komfort, ale też zwiększy ogólną ilość turystów. A więc przychody socjalistycznego państwa. Czy to jest do pomyslenia w Polsce?

Po kolejnej godzinie z okładem jazdy autokarem wita nas kolejna niespodzianka, czyli rafting – spływ w dół rzeki Kelani. Rzeki, na której kręcony był słynny „Most na rzece Kwai”. Na polecenie naszych przewodników wyskakujemy w samych kostiumach kąpielowych i na bosaka z autokaru wprost w objęcia przystojnych, młodych syngaleskich instruktorów, którzy błyskawicznie obierają nas w kaski i kamizelki oraz wciskają wiosła w ręce. Schodzimy nad rzekę i po krótkim instruktażu jak zachowywać się na łodziach pontonowych ruszamy z nurtem. Zabawa jest cudowna. Łódź pokonuje niewysokie

wodospady a my na komendę wiosłujemy lub na zasadzie „ratuj się kto może” łapiemy się olinowania łódki aby nie wypaść. No i podziwiamy piękne górskie plenery dokoła. Jest pochmurno, parno, ciepło i mokro. Jest wspaniale. Bawią się wszyscy... z wyjątkiem Igi, która dostaje hysterii po pierwszym wodospadzie i nie jest w stanie uspokoić się aż do momentu, kiedy na sam koniec instruktorzy pozwalają nam swobodnie wypaść z łodzi do rzeki i dryfować jak żółwie w naszych kamizelkach do brzegu. To ją uspokaja. A mnie zaczyna chodzić po głowie, że mała ma jakiś problem z wodą. Najpierw histeria z powodu deszczu w weddyskiej wiosce, teraz na raftingu. Mimo że siedziała bezpiecznie w środku pontonu, wystarczyła pierwsza fala na twarz by wywołać w niej poczucie skrajnego zagrożenia. Czyżby jakieś doświadczenia z poprzednich wcieleń? Postanawiam sobie odkręcić ten problem wahadłem przy najbliższej okazji.

Po emocjach wywołanych spływem Sunil organizuje przekąskę w autokarze (lokalne pi-i-i-ikantne pierożki) oraz puszcza w obieg kilka butelek araku. Arak to taki lokalny bimber / wódka / whisky, w zależności od punktu widzenia; występuje w różnych odmianach, najczęściej jest brązowy i butelkowany w szkło podobne do tego od whisky. Pędzi się go z kokosa. Za chwilę upojoną grupę Ewa wkręca w śpiewanie. Więc przez następną godzinę mamy „wesoły autokar”: Sokoły, Cyganie, Szła Dzieweczka do Laseczka i cokolwiek tylko polska myśl ludyczno-biesiadna stworzyła. A potem pomocnik Sunila (tak, tak, mieliśmy na pokładzie autokaru taką postać jak pomocnik przewodnika) intonuje jakąś lokalną syngaleską pieśń, którą z pomocą tłumaczenia Ewy podchwytuje autokar... I w ten radosny sposób wspinamy się po budzących szacunek serpentynach w wysokie góry (wspinamy się 1400 m wzwyż). Nasza grupa bawi się świetnie, Kuba – kontestator jest zde gustowany zachowaniem grupy i nie próbuje tego nawet ukryć, a mnie szczęka opada. Z jednej strony też irytują mnie takie akty zbiorowej głupawki, z drugiej jednak zaczynam zdawać sobie sprawę z tego że nie ma tu przypadku: Ewa celowo „puściła” imprezę po emocjonalnym raftingu a przed wjazdem w serpentyny, pamiętna napiętej atmosfery, jaka towarzyszyła nam w górskiej drodze do Kandy dwa dni temu. Naprawdę, szacunek dla pani psycholog :-)

Wjeżdżamy w region Nouwara Eliya (wymawiane „nuwarija”) i porośnięte lasami zbocza ustępują miejsca górskim plantacjom herbaty. Kolejny szalony widok. Zbocza górskie zagospodarowane co do centymetra, porobione tarasy i murki ciągną się po horyzont, a wszędzie na nich rosną herbaciane krzewy. Widok spokojny i sielankowy jak w Hobbitonie u Tolkiena / Jacksona. Wkrótce zatrzymujemy się przy fabryce herbaty niewielkiego lokalnego producenta Blue Field Factory. Zwiedzamy fabrykę oraz uczestniczymy w degustacji różnego rodzaju herbat; poznajemy różnice między herbatą złotą, białą, zieloną i czarną oraz dowiadujemy się, jaki wpływ na smak właściwości zdrowotne i zaparzenie ma stopień posiekania liści i mieszanie gatunków.

Taka mała ściągawka:

- „normalna” herbata jest zielona. Czarną herbatę osiąga się, jeśli przed procesem suszenia podda się ją fermentacji (1-2 dni)
- złota i biała herbata to szlachetniejsze odmiany herbaty zielonej, produkowane z wyselekcjonowanych wierzchnich liści „tips”, odpowiednio wcześniej zbieranych
- w zależności od stopnia rozdrobnienia liści herbaty cejlońskiej wyróżniamy: *pikoe* (całe liście), *orange pikoe* OP (bardzo grubo łamane liście), *broken orange pikoe* BOP (drobniej pocięte liście) oraz *broken orange pikoe fannings* BOPF (liście pocięte na miąż, służące głównie do produkcji herbat ekspresowych)
- herbata, podobnie jak whisky, może być *single* lub *blended* (mieszana)
- im bardziej pocięte są liście, tym herbata jest „mocniejsza” - szybciej się zaparza. Ale nie oznacza to, że jest zdrowsza
- herbaty nie powinno się zalewać wrzątkiem tylko trochę przechłodzoną wodą. I parzyć pod przykryciem.

W trakcie picia herbatki wywiązuje się bardzo dziwna rozmowa (głównie między Kubą a Agnieszką) na temat tego, jak wychowujemy Ige, a jak wychowywaliśmy jego. Kuba zgłasza wyraźne pretensje, że Iga nosi aparat korekcyjny na zębach, a on nie nosił i ma przez to krzywe zęby. G...no prawda, moim zdaniem wyglądają normalnie. Ale Kuba zamierza nosić aparat i je poprawić. Poza tym przyznaje się, że tylko względy finansowe nie pozwalają mu na podjęcie terapii z hormonem wzrostu bo nie czuje się dobrze w swoim ciele (ma 180 cm wzrostu i proporcjonalne, wysportowane, zadbane i umięśnione ciało). Przypomina mi się, jak kiedyś powiedział nam, iż nie nosi krótkich spodenek bo ma za grube uda (według mnie nie ma, ja, po kilkudziesięciu latach jazdy na rowerze mam mięśnie ud o wiele bardziej rozbudowane niż on, ale nie uważam, żeby zakłócało to proporcje ciała). W pierwszej chwili przeraża mnie jego narcyzm, samouwielbienie, potrzeba zwrócenia uwagi na siebie i dążenie do zrobienia z siebie idealnego cyborga. Rozumiem, gdyby mówił to ktoś o wybitnie nieatrakcyjnym wyglądzie, ale nie nasz Adonis! Po chwili jednak dociera do mnie, jak bardzo niepewny swojej wartości musi być Kuba, skoro przywiązuje uwagę do takich pierdół i wierzy, że ich poprawa pomoże mu w życiu. I robi mi się go zwyczajnie żal. Musi facet odrobić swoją lekcję w życiu. Na szczęście dość smutny klimat tej rozmowy rekompensują wrażenia wizualne. Obsługuje nas dziewczyna (najprawdopodobniej Tamilka, gdyż tą część wyspy zamieszkują głównie Tamilowie), która jest absolutnie piękna. Jest malutka, niezwykle proporcjonalna, ma śliczną twarz z której nie schodzi uśmiech i jest, jak na lokalne warunki, niezwykle zadbana. Kobiety ubierają się tu najczęściej skromnie – w miarę kolorowym bluzkom towarzyszą proste, ciemne spodnie lub długie spódnice. Dbają o dłonie i stopy sprowadza się wyłącznie do malowania paznokci; ponieważ dużo ludzi chodzi bosą, skóra jest gruba i spękana a palce mało subtelne. Tymczasem ona wręcz epatuje seksualnością, ma niesamowitą lekkość ruchu, wręcz zalotność kryjącą się w każdym geście. No i ma piękne dłonie i stopy, proporcjonalne, wąskie, delikatne, o długich palcach i zadbanych, naturalnie długich paznokciach, delikatnych i czystych, bez śladu lakieru. Z największą przyjemnością obserwuje ją ukradkiem. To niewątpliwie najpiękniejsza kobieta, jaką na wyspie spotkałem (nie umniejszając nic mojej cudownej Agnieszce). W dodatku laska odrobinę rozumie polski język i używa go. Widać, że na tej plantacji wycieczki z Rainbow Tours są stałym zjawiskiem.

Z fabryki ruszamy dalej w góry. Droga wiedzie przez plantacje największego lokalnego producenta herbaty (i zarazem wyłącznego dostawcy dla Jej Wysokości Elżbiety II, Królowej Anglii), firmy Macwood. Te plantacje ciągną się w nieskończoność i wywołują we mnie jak najbardziej negatywne przemyślenia na temat współczesnego neokolonializmu. Socjalistyczna Sri Lanka, flirtująca z religiami i inwestująca w miejsca kultu religijnego, nie pozwalająca cudzoziemcom na zakup ziemi, bez problemu toleruje wyzysk na plantacjach należących do dawnych, brytyjskich kolonizatorów. Aby wyrobić dniówkę, należy zebrać dziennie 25 kg liści. I to nie „jak leci”, ale starannie wyselekcjonowanych liści z wierzchołka krzewu. I za te 25 kg zbioru dostaje się równowartość 4 USD. Mało, nawet jak na lokalne ceny i zarobki. Wśród plantacji leżą ukryte tamilskie wioski, do których nie ma dróg dojazdowych, nie do końca wiadomo, ile osób tam żyje i w jakich warunkach mieszka i pracuje. Nikt tego nie nazywa wprost, ale widmo niewolnictwa krąży po autokarze. Zaś billboardy sławiące Macwood pojawiają się co kilkaset metrów, na każdym tarasie, z każdym zakrętem. Po co, skoro w okolicy innych plantacji niż Macwooda nie ma? Groszy to nie kosztowało. W pewnej chwili zatrzymujemy się przy jednym stoku z herbacianymi liśćmi. Natychmiast zbiega do nas osiem czy dziewięć Tamilek – młodych, starych, brzydkich i mniej brzydkich, ale u wszystkich z pustką w oczach. Pozują do fotografii z turystami z autokaru w zamian za napiwki, pozwalają się obejmować i sztucznie uśmiechają. Nasi towarzysze podróży dyrygują nimi, każą im pozować w różnych konfiguracjach towarzyskich. Widowisko byłoby żenujące, gdyby nie świadomość, że każda z Tamilek w kwadrans zarobiła ze 2-3 dniówki, a i dla nich sesja fotograficzna z białymi małpami z odległych krajów mogła mieć też niezaprzeczalny urok, nawet jeśli te białe małpy śmierdziały arakiem...



Po długiej i bardzo wolnej przeprawie przez góry Nouwara Eliya (autokar wręcz zdychał na serpentynach) dojeżdżamy do miasteczka Bandarawela i „najlepszego hotelu na wyspie”. Tak przynajmniej reklamuje go Ewa. Gdyż uczestniczyła w wychowaniu turystycznym właściciela i szkoleniu personelu. No dobrze, niech będzie najlepszy, choć do tej pory źle nie było. Pierwszą różnicę widać przy powitaniu – przed hotel wylega właściciel i cały management, wszyscy kłaniają się nam w pas i witają po europejsku, podając nam ręce. Na tym, niestety, przewagi hotelu się kończą. W pokojach – tak samo jak wszędzie, ani czystiej, ani brudniej, ani lepiej, ani gorzej. Za to spóźnienie na kolację 10 minut oznacza, że na część potraw nie ma już szans (jutrzejsze śniadanie potwierdzi tę regułę). Kelnerzy są chaotyczni i wręcz zabierają talerze sprzed nosa, nawet, jeśli danie nie jest zjedzone – symbolika ułożenia sztuczków nie istnieje. Na piwo czekam kwadrans, ale rachunek zań dostaję przed ukończeniem konsumpcji. Internet dychawiczny, nie sposób nawet odpalić poczty. Część hotelu zamykają o 22:00 i do pokoju trzeba ganiać naokoło. Niestety. To najgorszy hotel podczas podróży i skaza na idealnej postaci Ewy. Ale nie ma się czym przejmować. To nie jest tragedia.

Agnieszka przechodzi tego dnia kryzys. Przez całą podróż jest wobec nas nadopiekuńcza, stara się, żebyśmy wszyscy się świetnie bawili i utwierdzali ją w przekonaniu, że tak jest. Jest super, a ona jest świetną organizatorką. Wybrała najlepszą wycieczkę. A teraz coś w niej pęka. Już nie chce być taką świetną organizatorką, ma pretensje, że jej nie doceniamy. Dyskutujemy dość długo i chyba dociera do niej, że powinna wyluzować. Że każdy z nas (oprócz Igi) podjął dobrowolną decyzję o udziale w tej wycieczce i przeżywa zachwyty i rozczarowania na własną rękę. Nie musi nikogo za to winić. Miłe rozwiązanie ogólnie jednak nerwowego dnia. Dobranoc.

2013/11/2

Dzień siódmy, czyli potęga przyrody

Przed uśnięciem myślałem jeszcze o Idze i jej problemach z wodą. Po czym doświadczyłem w nocy wizji – przerażona kobieta z dzieckiem na ręku, wciągana przez bagno w gęstym lesie. Czuję, a moje Wyższe Ja mi potwierdza, że to przeszłość Igi z poprzedniego wcielenia, element, który trzeba jej oczyścić, bo blokuje ją w obecnym życiu. Dzielę się z Agnieszką tymi przemyśleniami i postanawiamy „coś tym zrobić”. Choć, mam wrażenie, że Agnieszka, jako bardziej ode mnie zaawansowana w ezoterycznej wiedzy, nie do końca ufa moim odkryciom.

Przed wyjazdem Monika, płożka właścicielka fryzjerskiego atelier, wiąże Idze fantazyjne warkoczyki. Wkrótce docieramy nad Ella Gap, przepiękny, górski punkt widokowy. Z tej osady rozpościerają się przepiękne widoki w dół przełęczy górskiej. To, czego ja doświadczam, to swojskość. Widoki są piękne, ale w ogóle nie są egzotyczne. Piękne góry, lecz takie jakies polskie. Soczyście zielone. Nie egzotyczne. Wysokie. Bieszczady plus. Czego nie mogę potwierdzić na kolejnym przystanku, nad wodospadem Ravana, gdyż tam osaczają nas małpy. Jest ich kilkadziesiąt. U stóp wodospadu (ładny, ale nie jakieś specjalne łoś) tubylcy handlują kwarcytami i gotowaną kukurydzą. Kwarcyty mają przynieść szczęście, dostatek, powodzenie w miłości i nie wiem co jeszcze, więc całą wycieczką kupujemy je na kilogramy za grosze. Kukurydzę kupujemy głównie po to, by podzielić się z małpami, które sępią na potęgę i są bardzo bezczelne. Iga niesie w ręku reklamówkę z kwarcytami, zajebicie fioletową. Jedna z małpek tapię ją i próbuje Idze wyrwać z rąk, więc spieszę z interwencją i przeganiem małpiątko. Reklamówkę puszcza, ale żeby miało się od nas w ogóle odczepić, no to bez przesady :-)



Ciekawą metodę handlu opanowali tubylcy. Sprzedają nam kwarcyty za... złotówki. Jak potem opowiada Ewa, kolejnej wycieczce Polaków tłumacząc, że „jacyś idioci” wcisnęli im pieniądze, z którym nie mają co zrobić i proszą o wymianę na rupie. Lub dolary. Lub euro. Nie muszą dodawać, że technikę obliczenia spreadu opanowali doskonale i zarabiają na tych zamianach.

Wreszcie opuszczamy góry (ja z dużym żalem) i kierujemy się w stronę morskiego wybrzeża. Tam czeka nas główny punkt dzisiejszego dnia czyli safari w parku narodowym Yala. Po drodze zatrzymujemy się nad pięknym jeziorem. Jest w połowie porośnięte nenufarami i podobną im roślinnością, co kilkadziesiąt metrów wyrastają z niego drzewa. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiają się okoliczni mieszkańcy ze smażonymi rybkami. Kupujemy kilka sztuk. Rybki są małe, zeschnięte, smakują nawet nieźle, jednak głównie służą nam do dokarmienia kilku bezpańskich psów i kilkunastu bezczelnych lokalnych wron. Wreszcie przesiadamy się do bardzo wygodnych jeepów (a właściwie do Mahindry) i jedziemy w stronę Yala. Trudno jest opisać urok tego parku. Jest w nim wszystko. Pawie, kormorany, ibisy, orły, dziki, antylopy, słonie, krokodyle... podobno towarzystwo z innego jeepa widziało też lamparta. Jest bajecznie. Jest cool. Dziki stają nam na drodze i musimy cierpliwie czekać aż zjedzą ze ścieżki. Pawie pozują jak modelki strzelające focha – czasem okażą przód ogona, a czasem tył. Słonie przyglądają się nam podejrzliwie zza ściany krzewów. Przerwę mamy nad brzegiem oceanu; można wejść i zanurzyć stopy. Na pobliskim drzewie małpy ćwiczą skoki – skaczą w dół z wrzaskiem z jakichś 10 metrów, po czym wspinają się po pniu i tak w kółko. I tylko ruiny hotelu zmiecionej przez tsunami w 2004 roku burzą sielankowy nastrój.





Zanim wyjechaliśmy do Yala, opuścił nas Sunil. Musiał jechać po kolejną grupę, a nasze atrakcje już się kończyły i Ewa, ze swoją świetną znajomością lokalnych układów, mogła dokonać dzieła i rozwieźć nas po docelowych hotelach. Sunil żegnał się ze wszystkimi miło, ale dostojnie. Małą Ięgę, jako jedyną wyczałował po rękach na znak uwielbienia. Mała I, która NIENAWIDZI całusów w żadnej postaci, była zachwycona względami okazywanymi przez syngaleskiego dorosłego arystokratę. Następnego dnia Sunil, dzwoniąc do Ewy, zażądał rozmowy z I. Ot, urok małych białych księżniczek :-)

Noc spędziliśmy w hotelu w Hambantota. Tuż nad brzegiem oceanu. Głośnego, huczącego oceanu, który nie do końca dał się nam wyspać. A w nas – przemiany. Agnieszce minął wczorajszy kryzys, jak sama stwierdziła, przyroda działa na nią kojąco, a dziś tej przyrody mieliśmy naprawdę dużo. Ja – wprost przeciwnie, wpadam w jakieś egzystencjalne dylematy. Dziś tak naprawdę ostatni dzień przygody. Jutro zawiozą nas do docelowego hotelu w Negombo i przez tydzień będę się byczył na plaży. Jestem bardzo zachwycony tym, co się wydarzyło, ale gdzie ta przemiana, która się miała we mnie dokonać? Czy ma ona sprowadzać się TYLKO do tego, że mam nauczyć się być „tu i teraz” i cieszyć się chwilą, a nie zatruwać sobie życia nadmiarem wyobrażeń co by było gdyby? Okej, niech tak będzie, ale liczyłem na jakąś wielką przemianę... :-)

W każdym razie dziś zacząłem pisać dzienniki. A właściwie konspekt, zestaw tematów, bym mógł pamiętać, co kiedy czuję i rozpisywać to w późniejszych dniach. Ocean nie dawał usnąć, więc siedziałem chyba do 2 w nocy. Tu Internet działał wyśmienicie.



2013/11/27

Dzień ósmy, czyli kokosy, Galle i neurotyczna droga do Negombo

Pamiętam dość zabawny incydent sprzed wyruszenia autokaru z Hambantota. Jeden ze współtowarzyszy (ten, który siedział za mną w kolejnym rzędzie w autokarze i w drodze do Kandy nerwowo kasłał na serpentynach) przed wejściem do autokaru znalazł duży orzech kokosowy. Jednak postanowił się go pozbyć i oferował go praktycznie każdej osobie wchodzącej do autokaru. Jedną z pań, korpulentna i piersiasta ruda czterdziestokilkulatka, na pytanie czy chce kokosa, nie bacząc na towarzystwo własnego męża ani żony ofiarodawcy, potrząsnęła mu cyckami przed nosem i rzekła: „proszę pana, ja to mam takie kokosy...” ;-))

Dzień zapowiada się niezbyt ciekawie. Zasadniczo autokar będzie już nas rozwoził po docelowych hotelach, a po drodze w planach jest tylko zwiedzanie miasta Galle – pozostałości po kolonialnym panowaniu Holendrów. Dla umilenia nastroju Ewa zatrzymuje autokar nad jakąś plażą, więc moczymy stopy (większość), a Kuba i Iga bawią się ze sporej wielkości krabem. Krab próbuje zakopać się w piasku. Kuba wyciąga go w ostatniej chwili. Krab nieruchomieje. Kuba kładzie go na piasku. Krab próbuje zakopać się w piasku. Kuba wyciąga go w ostatniej chwili. I tak kilkanaście razy. Iga, zachwycona, pokłada się ze śmiechu. Potem, po drodze, mijamy kilka razy rybaków na kijach. To jest odlotowy widok. Dla ułatwienia sobie połowów lokalni rybacy wbijają sobie – kilka – kilkanaście metrów od brzegu – drewniane pale w dno morza. Do tych pali mociują poprzeczki i siedzą na nich godzinami z wędkami, jakieś półtora do dwóch metrów nad powierzchnią wody. I tak wędkują, w stadach od kilku

do kilkunastu. I zawsze któryś z nich zeskoczy na widok kolejnego autokaru z turystami, aby uśmiechać się o typy. Widać, turyści biorą nie gorzej niż ryby.



Niedługo docieramy do Galle. To miasteczko, którego centrum stanowią XVII-wieczne holenderskie fortyfikacje portowe. Wewnątrz regularnych murów znajduje się 5 ulic i około 400 domów. W tym uroczą, piętrową restauracją, gdzie stajemy na popas. Zapraszamy do stolika Ewę i przy ogromnych *jumbo prawns* czyli gigantycznych krewetkach na talerzach ucinamy z nią przemiłą pogawędkę. Potem krótka wędrówka po murach fortu i na tym koniec przyjemności dnia. W dalszej podróży Ewa opowiada nam o tsunami z 2004 roku. Żywioł, który największe spustoszenia poczynił w Tajlandii, nie ominął też Sri Lanki, a jedziemy przez region najgorzej dotknięty żywiołem. Tamtego dnia śmierć poniosło 60 tys. Osób. Plus straty materialne, które dotknęły głównie biedotę, żyjącą w lichych domkach z byle czego. Większość hoteli turystycznych przetrwała, wymagała jedynie remontu. Ale na przykład w jednym z miasteczek tsunami po prostu zdmuchnęło z torów pociąg, w ciągu kilku sekund topiąc półtora tysiąca pasażerów.



Potem pozostają już tylko rozstania. Kolejne grupki ludzi wysiadają pod kolejnymi hotelami. Opuszczają nas przemili płocczanie, Monika i Kuba. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze kiedyś. Wreszcie w przedostatnim hotelu opuszcza nas też Ewa. Rozstajemy się w objęciach. Ja mam łzy w oczach, a widzę, że i ona jest jakby wzruszona. Tak, to było już czuć podczas podróży: i Agnieszka, i ja i Ewa nadajemy na podobnych falach i mam nadzieję (Agnieszka też), że ta znajomość przekształci się w jakąś trwalszą przyjaźń.

Dalsza podróż autokarem to już mordęga. Jest późne popołudnie, siedzimy w nim od rana, a przed nami jeszcze ze 3-4 godziny jazdy, w tym przebijanie się przez zatłoczone Colombo (nasz hotel jest jedynym położonym na północ od stolicy spośród całej wycieczki). Smutek ustępuje miejsca

wściekłości. Niepomny nauk, włączam wewnętrzne projekcje nienawiści do całego świata i poszczególnych osób. Z lubością wyobrażam sobie sceny, jak poszczególne osoby mogłyby mi podpaść i jak mógłbym się na nich za to zemścić. Najgorzej w tych wyobrażeniach dostaje się Kubie. Bo tak. Dopiero tuż przed wyjazdem z Colombo zapadam w krótką drzemkę, podczas której nastrój odwraca mi się o 180 stopni. Doznaję jakiegoś radosnego objawienia. Kocham cały świat i z niemal ekstazą czekam na to, co się wydarzy. I tak mi zostaje przez najbliższą godzinę, zanim nie dotrzemy do hotelu Camelot w Negombo. Oprócz nas wysiada tam para sympatycznych Czechów: Vaclav i Adela. Kwaterujemy się. Hotel, choć na pierwszy rzut oka najbrzydszy ze wszystkich, które do tej pory odwiedziliśmy, nie wywołuje jednak negatywnych skojarzeń. Co prawda zewnętrzne elewacje są brudne i obdrapane, jednak pokoje są duże, schludne i czyste, a obsługa bez problemu pożycza nam adaptory do gniazdek elektrycznych, aby doładować europejskie laptopy i komórki. Restauracja jest sympatyczna a basen i jego okolice – co poznajemy już następnego dnia – czyściutkie i zacienione.

2013/11/28

Dzień dziewiąty, czyli zaczynamy relaks

Obudziłem się o 6 rano. Agnieszki nie ma. No tak, tydzień nie ćwiczyła jogi, pewnie poszła na plażę (o kurczę, zapomniałem spakować jej maty, jak prosiła mnie o to przed wylotem ☺).

Napadają mnie refleksje dotyczące alkoholu. Nie odstawiłem go całkiem, ale piję znikome ilości. 5 piw od chwili przylotu, max. 1 dziennie i prawie w ogóle nie odczuwam potrzeby, żeby pić więcej. Na to pierwsze złamałem się, gdy dojechaliśmy do Kandy, tak trochę przewencyjnie – antyprzeziębieniowo, po kompletnym przemoknięciu w wiosce Weddów i wymarznieniu w mokrej koszulce w klimatyzowanym autokarze. Kolejne wypijałem do obiadu lub kolacji, bo odkąd ustabilizował mi się stan żołądka, przestała smakować mi cola, a piwo lepiej gasi pragnienie. Ale po tym jednym piwie do posiłku nie chce mi się więcej. Czyżby więc tak silnie zależało to od stresu codziennego, którego tu prawie nie doświadczam?

Wróciła Agnieszka. Nie ćwiczyła jogi tylko biegała po plaży. I medytowała. A teraz siedzimy na balkonie, każde z nosem w swoim laptopiku i czekamy, aż dzieci się wygrzebią na śniadanie. A potem... zmierzmy się z Negombo.



Zaczynamy czysto turystycznie: basen, plaża, ocean. Jest super, ludzi mało, woda ciepła, słońce zza lekkich chmur, więc upał męczy tylko trochę. Bardziej męczą beach boysi, czyli lokalni plażowi sprzedawcy wszystkiego. Nie wolno im wchodzić na teren hotelu i basenów, więc rozkładają swoje kramiki na murku dzielącym baseny od plaży. Albo dopadają wprost na plaży. Są dość upierdliwi, ale i tak bez porównania lepsi niż w Tunezji. Po pierwsze potrafią grzecznie odpuścić, po drugie każdy zna angielski i potrafi coś opowiedzieć o swojej ofercie, zachęcić. Pod ich wpływem nabieram ochotę na rejs katamaranem. Tu należy się kilka słów wyjaśnienia.

Katamaran nie jest nowoczesną łodzią, jaką znamy z europejskich kurortów. To lokalna łódź rybacka. Ma z 10-12 metrów długości i zaledwie około metra szerokości. Pomiędzy burtami da się stanąć dwiema nogami tylko bokiem. Aby zapobiec wywrotkom, łódź połączona jest dwiema poprzeczkami z niewiele krótszą od niej drewnianą kłodą, która udaje drugi kadłub. Nad tymi poprzeczkami zbudowana jest mała platforma do siedzenia, jakiś metr na trzy. A z kadłuba prężą się dumnie dwa bambusowe

maszty, pomiędzy którymi rozpięty jest płócienny żagiel. No więc katamaranem można popłynąć na pobliską rafę koralową i do wraku zatopionego statku i tam ponurkować. Kuba wkręca się ze mną, Agnieszka odmawia. Odkładam decyzję do jutra.

Zjadamy lunch w pobliskiej tawernie i idziemy eksplorować najbliższe, dobrze wyglądające z zewnątrz centrum ajurwedyjskie. Masaże są częścią naszego planu na ten wyjazd, poza tym Agnieszka chce zasięgnąć opinii ajurwedyjskiego lekarza. Lokal wygląda bardzo przyzwoicie, pani doktor sama tłumaczy nam zabiegi, cena jest niższa niż ta o których mówiła Ewa („standard to 40-60 USD, wszystko co poniżej jest oszustwem”) – około 28 USD za kompleksowy masaż całego ciała. Włącza mi się czerwona lampka, ale zdążyłem już zauważyć, że ta cena jest tu standardem, więc się uspokajam. Zamawiam masaż już dziś, Agnieszka w tym czasie idzie na konsultację, a masaż z Kubą biorą na jutro. Masaż jest bardzo przyjemny, choć odbywa się inaczej od tych tajskich, na jakie chodziliśmy w Warszawie. Najpierw głowa na siedząco, potem masażystkę zastępuje masażysta i bierze się za całą resztę. Jest po prostu super. Olejki pachną i są gorące, masaż jest konkretny, ja co chwilę odpływam w senno-medytacyjne wizje. Wychodzę zupełnie zrelaksowany.

2013/11/29

Dzień dziesiąty, czyli alkohol, trzy równa się cztery i patelnia na katamaranie

Decydujemy się na rejs katamaranem. Ja, Kuba i Iga. Agnieszka postanawia zostać. Katamaran wygląda dość niepewnie. Jest na oko stary, zniszczony. Poszczególne elementy są połączone wyłącznie linami. Widać to, gdy płyniemy – każdy z kadłubów (ten właściwy i przeciwważna kłoda), żyje swoim życiem i w swoim tempie buja się na falach. My jesteśmy nad nimi, na bambusowej, ażurowej platformie, ze 2 metry nad poziomem morza. Iga jest mocno spanikowana i chce wracać. Na szczęście udaje mi się odwrócić jakoś jej uwagę. Kuba zachwycony – jeden z trzech marynarzy mówi świetnie po angielsku, więc wdają się w pogawędkę dosłownie o wszystkim. I tak, niesieni spokojnymi falami mijamy wrak statku handlowego, który ze 30 lat temu rozbił się o rafy i utonął. Podobno cała załoga była w trzy dupy pijana, a kapitan spał zamiast prowadzić. Wreszcie docieramy nad rafę. Dostajemy wszyscy okulary i rurki do oddychania i... wychodzi jedna wielka dupa. Ja po raz pierwszy płynę nie w okularkach basenowych, tylko w takich z rurką i zatykających nos. I dławię się co chwilę. Dlaczego k... mać nie zabrałem zwykłych okularków? Iga, podobnie jak ja nie mogąc sobie poradzić z oddechem, wpada w histerię. Jeden z marynarzy próbuje holować na plecach najpierw ją potem mnie, ale w obu wypadkach kończy się to porażką. Wciągamy Igę zespołowo na platformę, ja wspinam się za nią. Gówna a nie oglądanie rafy nam wychodzi. Tylko Kuba zalicza wycieczkę bez problemu.

Siedząc z powrotem na platformie dostaję matematycznego olśnienia. Trzy równa się cztery! Gdy wypływaliśmy spod hotelu, załogę katamarana stanowiły 3 osoby. I na pokładzie są dalej 3 osoby. Plus jeden w wodzie. Po białej rękawiczce poznaję, że to on holował Igę i mnie. A teraz domaga się napiwku. Skąd on się wziął do cholery? Rzut oka na okolicę wyjaśnia wszystko – po drugiej stronie rafy stoi zakotwiczona mała łódka. No tak, kolejny sposób na skrojenie turystów, stały posterunek „ratownika” na rafie. Niestety, na pokład nie wziąłem ani grosza, więc nasz „ratownik” z wyrzutem w oczach odpływa do swojej łódki. My wracamy też. W drodze na rafę przed słońcem chronił nas żagiel. Teraz smażymy się jak na patelni. Iga, pod wpływem gorąca i stresu usypia. A ja się martwię: upałem, brakiem filtra przeciwsłonecznego, kolejnym przejawem lęku małej I wobec wody. Na ląd schodzę więc trochę zirytowany. Właściciel katamarana zjawia się, aby się rozliczyć za rejs, więc idę do pokoju po portfel. Z umówionych 70 USD robi się 50 USD i 20 EUR, bo akurat takie mam banknoty, no ale zdaniem właściciela to jest „the same price” i reszty nie dostaję. Plus pojawia się jeszcze z jego strony roszczenie o napiwki dla załogi. Oż ty pieprzony naciągaczu! Wkurzony na maksa dokładam jeszcze 15 USD i

obiecuję sobie, że od tego beach boysa już nic nie kupię do końca pobytu. I słowa szczęśliwie dotrzymuję.

Kolejny beach boys przedstawia mi się jako doktor – okulista i proponuje zakup nowych okularów. Cenę rzuca nad wyraz atrakcyjną, ale ja, dalej wkurzony na katamaraniarza, odsyłam go na jutro. Choć jestem przekonany, żeby zrobić z nim deal. Co wahadełko potwierdza.

Tego dnia pękam też z alkoholem. Do tej pory pozwalałem sobie na maksymalnie jedno piwo dziennie, i to nie zawsze. Dziś wypijam ich cztery, w tym jedno mocne, i łąpię lekkiego rausza. Warto przy tym pamiętać, że normalne piwo tutaj to nie 0,5, ale 0,68 litra. Z tym, że na szczęście lokalne piwa są słabe. Normalne ma około 4,5% alkoholu, mocne 6,5%. Czemu w Polsce tak być nie może i trzeba katować się „normalnym” piwem o zawartości alkoholu 5,5 - 6%?

2013/11/30

Dzień jedenasty, czyli mistyczny zachód słońca i okulary

Przedpołudnie w Negombo jak zawsze – śniadanie, wypad na basen. Targi i przekomarzanki z beach boysami. No i realizacja poważnej decyzji z wczoraj – kupię okulary od okulisty z plaży. Więc od rana przymiarki. Ja przy barierze hotelowej enklawy od strony basenu, Pan Beach Boy Optyk od strony plaży, bo im na teren wejść nie wolno. Najpierw, z pomocą ukochanej żony uzgadniamy oprawki. A potem zaczyna się badanie wzroku... trochę inne niż w te, do których przywykłem w Polsce. Pan ma specjalne okulary testowe z wymiennymi szkiełkami, wkłada mi „minusy” i mówi: „patrz na morze i powiedz, czy dobrze widzisz”. I tak, metodą prób i błędów uzgadniamy -3,25. Więc znów postęp, o kolejne 0,25 dioptrii lepiej. Potem badanie „plusów” już bardziej tradycyjne: pan ma kartkę z tekstem pisany czcionkami różnej wielkości. Stajemy na +1,25. A potem badanie rozstawu źrenic: mam patrzeć na palec Pana Optyka, a on w tym czasie stawia kropki flamastrem na szkiełkach 😊. Ciekawe co z tego wyjdzie. Ale jestem dziwnie spokojny, że będę zadowolony z produktu.



Przy lunchu rozmawiamy o tym, że może by tak jeszcze raz skorzystać z ajurwedyjskich masaży, w drodze powrotnej Agnieszka wpada na pomysł, żeby dla odmiany w innym salonie; znajduje jakiś, wchodzimy... wygląda podobnie do pierwszego, pan na recepcji jest podobnie kompetentny i uśmiechnięty jak pani doktor w pierwszym salonie. Umawiamy się na jutro. Lekki niepokój budzi we mnie, że pan chce zaliczkę, ale, myślę, może rzeczywiście turyści często rezygnują i chce się zabezpieczyć. Daję mu 1000 rupii.

Ledwie dochodzimy do hotelu, zaczyna się ulewa, więc spóźniam się na spotkanie z Panem Optykiem. Odbieram moje чудо: dwuogniskowe plastikowe fotochromy z antyrefleksem, powłoką antyzadrapaniową i jeszcze jedną, która poprawia widzenie drobnych szczegółów i kontrast. Całość za jedyne 240 USD; myślę, że dobre 30-40% oszczędziłem w stosunku do Polski, gdzie ten wydatek i tak mnie czekał, bo moje oczy już od kilku miesięcy proszą o „plusy”. Pierwsze wrażenie jest dziwne: na górze „minusy”, na dole „plusy”, coś jest wyraźne, coś nie, świat faluje... Agnieszka pociesza mnie, że ona do swoich pierwszych dwuogniskowych przyzwyczajała się 2 tygodnie, ale że to wszystko minie.

Mam ogromną ochotę na kąpiel w oceanie, ale leje jak z cebra. Zapadam w krótką drzemkę w pokoju, budzę się krótko przed zachodem słońca (który następuje tu około 18:00) z postanowieniem, że idę się kąpać co by się nie działo. Deszcz pada, ale niewielki. No i już rozumiem, że to nie ja sam, ale moje Wyższe Ja albo aniołowie kazali mi wyjść. Doświadczam najpiękniejszego zachodu słońca, jaki w życiu widziałem. Od północy przejaśnia się i niebo jest jasnoszare. Na zachodzie niebo jest czarne, przykryte potężną deszczową chmurą, która ciągnie się znad mojej głowy po horyzont. Ale jakieś pół metra nad linią horyzontu w chmurze jest przerwa, w tej przerwie siedzi skłębiony cumulus, zaróżowiony od schowanego za nim słońca. Ma kształt góry, odcinającej się swym białoróżowym blaskiem od czarnego tła. Zza góry słońce wypuszcza promienie pod kątem jakich 160 stopni, tworząc wokół góry świetlistą koronę-aureolę. Widok zapiera dech w piersiach. Na plaży jestem ja i jakaś syngaleska para pod parasolem ☺. Czuję się tak, jakby ten widok był dedykowany tylko dla nas, jakby był to jakiś mistyczny przekaz który nie do końca rozumiem. A może rozumiem, może jest on po to, abym nauczył się smakować „tu i teraz”, żyć chwilą bieżącą. Może nie ma w tym przekazie nic głębszego? Więc cieszę się tą chwilą, tymi 5-10 minutami, zanim widok nie zniknie a słońce nie schowa się całkiem za horyzontem. Dopiero potem zaczynam pływać. Długo nie zapomnę tych kilku chwil.



2013/12/01

Dzień dwunasty, czyli erotyka, Budda i slumsy

Kawał przeczytany już w Warszawie, w styczniowym „Playboyu”:

Salon masażu. Facet leży na stole okryty jedynie małym ręcznikiem. Podchodzi precudna Tajka i zaczyna masować mu ramiona, tors, zatacza kręgi po brzuchu. Facet nie wytrzymuje i ręcznik powoli wędruje w górę.

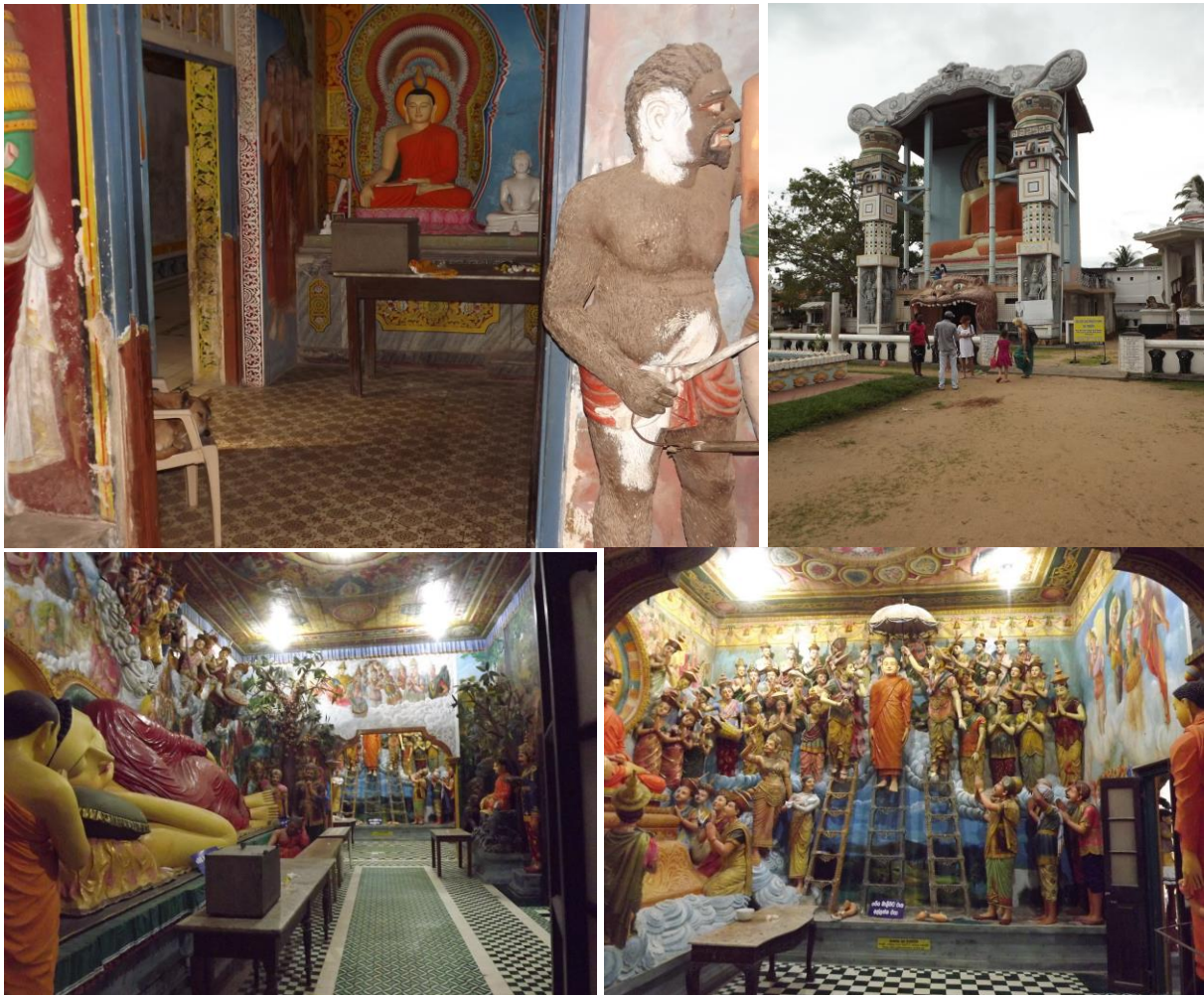
- *Ręcznej robotki chcesz? – pyta śliczna masażystka*
- *Och taaak – stęka klient*
- *To ja wrócić za 5 minut*

Po śniadaniu wyruszyłem na umówiony wczoraj masaż ajurwedyjski. Z naciskiem na ajurwedyjski, gdyż po poprzednim masażu tego właśnie oczekiwałem. Przyjemnych, ciepłych olejków, silnego masażysty który umiejętnie pouciska różne miejsca na moim ciele i rozgrzeje mięśnie. Półtorej godziny relaksu. Na miejscu, cóż... seria niespodzianek. Pan recepcjonista domaga się zapłaty z góry za mnie i Agnieszkę, która ma przyjść za 2 godziny. Wyciągam 2 tys. rupii za mnie i asertywnie odmawiam dopłaty za Agnieszkę, coś mi tu się przestaje podobać. Zamiast masażysty pojawia się masażystka, niska, korpulentna i piersiasta Syngalezka. Okej, to w sumie może być nawet przyjemniejsze. Wchodzimy do gabinetu. Zdejmuję ubranie i zostaję w samych slipach, jak poprzednio. „Change” - masażystka słowem i gestem daje mi do zrozumienia, że slipki też mam zdjąć. No dobrze, zdejmuję i kładę się na brzuchu, czekając na jakiś ręcznik, który okryje części ciała akurat niemasygowane. Nic z tego. Dziewczyna bierze się do roboty. Olejek jest zimny i pachnie kamforą, niby przyjemnie, gdyby nie skojarzenia z dzieciństwa. Masażystka co jakiś czas na sekundę-dwie przytula się twarzą do moich ramion, uśmiecha i raczy opowieścią o biedzie i o mężu, który zginął w tsunami. No tak, napiwek... ale przyjmuję to ze spokojem, zwłaszcza że masaż, choć daleko mu do tego pierwszego, jest przyjemny. Jeszcze przyjemniej robi się po przekręceniu na plecy, gdy masażystka nie dość, że nie przejmuje się moją nagością, to jeszcze bez zbędnych ceregieli i pytania o chęci zaczyna mi masować także penis i jądra. What the fuck? Rozumiem, że istnieją masaże erotyczne, ale wczoraj przyszliśmy się zapisać całą rodziną, na „ajurvedical full body treatment”, tak samo jak 2 dni wcześniej w innym salonie i jednak nie tego się spodziewałem. Ale cóż, jest przyjemnie, ze świadomością dobrowolnego napiwku już się pogodziłem, oddajmy się chwili. Chwila za chwilę bardzo się konkretyzuje: dziewczyna pokazuje ręką ruch walenia i konia i uśmiechając się mówi „two thousand”. Kiwam potakująco głową, choć w zamyśle chciałem zapłacić połowę tej sumy. Masażystka szybko doprowadza mnie do wytrysku po czym ze spokojem kontynuuje „ajurwedyjski” masaż stóp i głowy. Wkrótce opuszczam salon w mieszanym nastroju. Z jednej strony – zrelaksowany i pachnący. W końcu jednak był to „full body massage”, jak by nie patrzeć ☺. Z drugiej – podirytowany; masaż trwał pół godziny krócej niż wynikało z cennika. No i dziwny problem z tytu głowy, co powiedzieć Agnieszce? Czy przemilczeć, czy uprzedzić ją, że masaż nie jest tym, co napisano w cenniku a poza tym jednak, jako masaż, słaby. Jak na to zareaguje, przy swojej bardzo dużej wrażliwości na zdradę? Czy nie pojawią się pretensje, że nie wyszedłem w trakcie? Dochodzę do wniosku, że jednak będę szczery i z takim nastawieniem dochodzę do hotelu. Wchodząc dokonuję odkrycia, że ona przecież umawiała się tylko na masaż nóg. Więc może jednak przemilczeć? Postanawiam poradzić się Wyższego Ja, a z braku wahadełka wykorzystuję sandał zawieszony na palcu. I zgodnie z jego poradą (ten obowiązek szczerości wychodzi mi od czasu kryzysu w Aon) postanawiam mówić prawdę. Więc mówię, że masaż był słabszy od pierwszego, a przebieg odbiegał od tego, czego oczekiwałem. „A co, zrobiła Ci laskę?” – pyta Agnieszka. Po czym opowiada, że kiedy była na masażu w Kandy też zamiast masażystki dostała masażystę, który kazał rozebrać się do naga, i mimo, że miejsc erotycznych nie dotykał (?), to jednak ręcznikiem „tak nie do końca przykrywał” i widział co chciał.

Pisząc to, wracają do mnie wspomnienia naszego wielkiego kryzysu sprzed 4,5 roku. Ja wtedy przyznałem się do spędzenia nocy z jakąś laską na imprezie. Laską, z którą potem w ogóle nie utrzymywałem kontaktu, spotkałem raz przypadkowo na kongresie brokerów, obiecaliśmy sobie porozmawiać przy kawie i... już się nie zobaczyliśmy. I to dla Agnieszki BYŁA zdrada. Natomiast Agnieszka przyznała się wtedy, że w czasie naszego małżeństwa zakochała się w innym facecie. Że nie spała z nim, ale zaplanowała się z nim związać i szukała na mnie haków, żeby rozwód był z mojej winy. I to NIE BYŁA zdrada... Myślę o tym w kontekście dzisiejszej sytuacji, gdzie Agnieszka przyznała się do

quasi-erotycznego charakteru swojego masażu dopiero po mojej opowieści. Wtedy, przed naszym wielkim kryzysem też po cichu, działała przeciw mnie. Ale, może niepotrzebnie się tym zajmuję. To już przeszłość. Oboje zmieniliśmy się od tego czasu, nie ma co się zatruwać tamtymi sytuacjami i na ich podstawie malować przyszłości. To nie jest „tu i teraz”. Jeśli mamy doświadczyć w tych wcieleniach rozstania, to go doświadczymy. Ale jak nie będę robił sobie takich projekcji na przyszłość, to tak się nie stanie. A na dziś – kocham Agnieszkę i chcę rozwijać nasz związek.

W końcu Agnieszka zrezygnowała z masażu, co utwierdziło mnie poczuciu słuszności, że asertywnie odmówiłem zapłaty awansem za nią. Wkrótce, po długim *baseningu i oceaningu* połączonym ze zbieraniem z córką muszelek wyruszyliśmy tuk-tukiem na wycieczkę do pobliskiej świątyni Buddy, jednej z największych w kraju. Wrażenie – wspaniałe. Wszystkie nawy pełne figurek i malowideł przedstawiających sceny z życia Buddy. W różnych skalach i proporcjach, za to wszystko niesamowicie bajecznie kolorowe, wręcz ludyczno-cepeliowe, jakże przeciwne do dostojnej świątyni w Kandy, głównego miejsca kultu na wyspie. Ale jakże słodkie i urocze.



Ze świątyni pozwoliliśmy zawieźć się kierowcy tuk-tuka „do jakiejś restauracji w centrum”, znów dając szansę „tu i teraz”, aby się zadziało. Knajpa znalazła się gdzieś na uboczu, zaoferowała nam jednak smaczne, niedrogie dania i nadopiekuńczego kelnera. Postanowiliśmy „przejść się kilka kroków” i skorzystać z tuk-tuka, gdy rozpada się na dobre (właśnie spadło kilka nieśmiałych kropel deszczu). I tak oto „kilka kroków” zaprowadziło nas do prawdziwego, nie tego turystycznego, Negombo. Najpierw na targ rybny, zamknięty, bo to niedziela. Jednak tuż obok niego, wzdłuż plaży, ciągnął się targ owocowo-warzywny. Szokujący. Żadnych straganów, wszystkie towary sprzedawane prosto z ulicy (dosłownie:

towary leżały na gołej ziemi, bez żadnej folii czy choćby gazety). Wśród tego dość dowolnie waleśały się psy, krowia rodzinka oraz stado kóz. A w ramach cywilizacyjnego zderzenia u niektórych sprzedawców stały elektroniczne wagi, mieniące się wielobarwnymi diodami w nadchodzącym zmierzchu. Kilkaset ludzi i my – jedyni biali. O dziwo, tu, w przeciwieństwie do turystycznej części miasta, nikt nas praktycznie nie zaczepiał, nie namawiał do zakupów. Czuję się trochę jak kosmita z innej bajki, ale też trochę jak niewidzialny przedstawiciel innej kasty.



Za targiem zaczynały się slumsy. Dokładnie takie, jakie widziałem w „Slum Dog. Milioner z ulicy”. Malutkie domki zbudowane z byle czego, nie dające pełnego schronienia ani przed deszczem, ani wiatrem, ani zimnem (ale to ostatnie nie jest tu problemem), niskie, poprzyklejane chaotycznie do siebie, zajmujące każdy kawałek wolnej przestrzeni, wrzynające się w plażę, gdzie z kolei mieszały się z rybackimi łódkami, które – odwrócone do góry dnem, też służyły za noclegownie. Nie wiem, czy to dlatego, że była niedziela, ale slums tętnił muzyką, śpiewami ludzi siedzących przy ogniskach, jakąś niesamowitą pozytywną energią. Radosnym „hello” rzucanym w naszą stronę. Kuba wdał się w pogawędkę z jakimś tubylcem i choć mnie powrót plażą z Igą i Agnieszką zajął dużo czasu, Kuba wrócił chyba godzinę po nas. Tubylec wciągnął go w głąb slumsu, pokazał swój „dom”, zaprosił do swojej matki na herbatę i przekazał zaproszenie dla nas wszystkich na wspólny obiad jutro (oczywiście, musielibyśmy go sfinansować). Trochę mnie to kusi, podziwiam te antropologiczne zapędy Kuby (który odkąd przyjechaliśmy skumał się z beach boysami, szwęda się z nimi po Negombo, kupuje jakieś gadzety, wypytuje o lokalną kulturę i sub-kulturę) i żałuję, że nie mam takiej otwartości w sobie.



A potem – pierwsza prawdziwie wspólna kolacja odkąd tu jesteśmy. Nie w tym sensie, że razem przy jednym stole, ale po raz pierwszy poczułem, że wszyscy nadajemy na jednej fali, jak bliscy sobie ludzie. Radosne przekomarzanki na różne tematy, które bawiły wszystkich. Dziewiętnastoletni Kuba od jakichś dwóch dni spuścił z wysokiego ce i przestał nas pouczać jak należy żyć. No – prawie przestał. 😊 Jeszcze trochę strofuje dziewięcioletnią Igę: „nie opieraj butelki o szklankę nalewając Sprite, bo szklanka się może przewrócić”. Agnieszka przestała wypytywać nas co chwilę, czy jesteśmy szczęśliwi i czy wszystko nam się podoba. No – prawie przestała. 😊 Ja przestałem się zamykać w sobie, odpytywać w rozważania o przyszłości i wściekać na mentorski ton Kuby. To znaczy, raczej prawie przestałem. 😊 A Iga w ogóle jest tu dzieckiem idealnym i poza stanami skrajnego zmęczenia nie strzela (prawie) w ogóle fochów. Jest super, żebyśmy tylko nie zepsuli tego zbyt szybko.

2013/12/02 – 2013/12/04

Dni trzynasty do piętnastego, czyli dopełnienie relaksu

Kolejne dni miały nam w całkowitej bez trosce i relaksie. Od rana basen przeplatał się z morzem, a morze z basenem. Po południu eksplorowaliśmy kolejne knajpy w Negombo (w hotelu mieliśmy wykupioną opcję HB, czyli śniadania i obiadokolacje). O tutejszej kuchni, gdzie nie zawitaliśmy, wyrobiliśmy sobie opinię, że jest bardzo dobra. Wyjątkiem okazała się restauracja „Tusker”, niby taka jak wszystkie w okolicy, ale reklamująca się poleceniem ze strony Trip Advisor. Tu jedzenie nie było bardzo dobre. Tu było po prostu wyśmienite. Wszystko smakowało rewelacyjnie, a ja zakochałem się w krewetkowej zupie. Kuchnia zachwyciła nas do tego stopnia, że ostatniego dnia Agnieszka i Kuba zapisali się w „Tuskerze” na kurs gotowania lokalnych potraw.

No i miałem okazję zachwycić się lankijską piękną nr 2, czyli kelnerką w naszym hotelu. Nie była tak piękna jak dziewczyna w fabryce herbaty. Ale różnica nie była wielka. Ta z hotelu była może mniej seksualna (do momentu, gdy flirtując z jednym z kolegów z pracy nie zakręciła biodrami), nosiła na

sobie skromny hotelowy uniform, który trochę uniemożliwił ocenę jej figury, miała jednak urzekający, piękny uśmiech i mnóstwo empatii. Cudne, czekoladowe ciasteczko.

Jednego wieczoru odbył się w hotelu koncert. Lokalny celebryta śpiewał przez kilka godzin europejskie i amerykańskie hity po angielsku. W tym „Imagine” Johna Lennona. Oraz „Last Christmas” Wham! Albowiem miasto szykowało się do Świąt Bożego Narodzenia. Mieszkańcy Sri Lanki mają dużo szczęścia do świąt. Ponieważ współżyją tam cztery religie, honoruje się dni święte w każdej z nich jako ustawowo wolne od pracy. Więc muzułmanie celebrują święta hinduistyczne, hinduiści chrześcijańskie... Na ulicach pojawiły się stroiki, świąteczne lampiony i sztuczne choinki. W naszym hotelu wyrosła ogromna (sztuczna) choinka, pod nią dwa olbrzymie (sztuczne) renifery, a wokół nich mnóstwo paczek ze sztucznymi prezentami. Nasz hotel Nazywał się „Camelot Beach” i z racji nazwy starał się nawiązywać do arturiańskich legend. Bar nad basenem nazywał się więc „Excalibur” i posiadał mroczne artefakty w postaci zbroi i długiego miecza. I nawet na tym mieczu przysiadła ubrana w mikołajowe, czerwone futro Śnieżynka z częściowo odkrytym biustem i kuflem piwa w dłoni. Ot, magia Świąt. I to wszystko przy 30 stopniach ciepła. ☺



Odrobinę zaprzyjaźniliśmy się z naszymi Czechami: Adelką i Vackiem. Adelka, podobnie jak ja, pracuje w firmie brokerskiej. Vaclav robi różne biznesy w budowlance i deweloperce. Oni w międzyczasie jeszcze spędzili 3 dni na Malediwach. To podobno przepiękny kraik, ale bardzo dziwny. Składa się z samych wysepek, ledwie wystających ponad poziom morza. Dróg jest raptem kilkanaście kilometrów. Plenery podobno cudowne, z malowniczymi atolami i zatoczkami. Gorzej z relacjami tam panującymi. Jest to państwo całkowicie muzułmańskie i bardzo ortodoksyjne. Jeśli jakiś obywatel zrezygnuje z tego wyznania, nie dość, że traci obywatelstwo, może zostać skazany na dożywotnie więzienie. Nie wolno pić alkoholu. Nie wolno posiadać jakichkolwiek symboli religijnych innych niż muzułmańskie. Piękne więzienie.

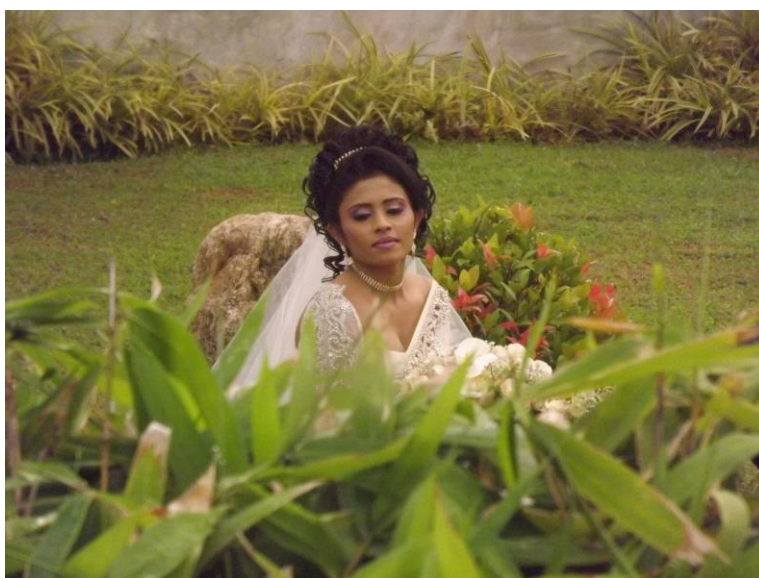
Wydarzył się też kolejny wieczór, gdy pozwoliłem sobie na więcej niż jedno piwo. (Ale też i dzień bez piwa w ogóle). W pewnej chwili zakotwiczyliśmy w Excaliburze z Kubą na browarku. I miłych rozmowach. Ogólnie jednak, cieszę się, że potrafiłem zachować przez 2 tygodnie taką wstrzemięźliwość. Oby w Polsce nie było gorzej...

2013/12/05

Dzień szesnasty, czyli pożegnanie

Niestety, nasz pobyt na tej pięknej wyspie kończy się. Szkoda, jak mało których wakacji. Chorwacja była bez wątpienia najpiękniejszym miejscem, jakie widziałem, ale czułem się tam obco. Chorwaci są może i przyjaźni, ale mało zażyli w relacjach z obcymi. Zamknięci w sobie. Jakby ciążyło na nich widmo niedawnej wojny. Na Krecie z kolei czułem się wspaniale, jakbym spędził tam wiele lat (może przeżyłem tam któreś z wcześniejszychżyć?). Jakby był w kolebce ludzkości. Ale Kreta jest jednak, mimo gorącego klimatu i życzliwości Greków, majestatycznie i dostojnie chłodna. I bardzo skomercjalizowana. Bułgaria jest malownicza, ale przaśna. Portugalia to taka trochę mniej wyrazista Chorwacja. A tu, mimo całkowicie odrębnej kultury, jest swojsko i przyjaźnie. No i te góry, soczyście zielone po same czubki, a wysokie niemal jak nasze Tatry. Parki narodowe zapierają dech w piersiach. Ludzie zawsze uśmiechnięci. Arystokratycznie dostojny, a zakochany w dziewięciolatce Sunil. Ewa... Jest czym paść wspomnienia.

Podczas jednego z postojów autokaru, zbierającego turystów z kolejnych hoteli, mimo wczesnej pory ponownie trafiamy na lokalny ślub. Młodzi mają sesję fotograficzną; są kolorowi i uśmiechnięci, choć panna młoda jakby smutna. Tutaj ślub to nie tylko przyrzeczenie miłości. To bardzo precyzyjnie spisany kontrakt, określający nie tylko, co kto do małżeństwa wnosi, ale także co dziedziczy w przypadku śmierci współmałżonka. Osobom „z przeszłością” w tutejszej społeczności bardzo trudno znaleźć drugiego partnera, a że w wypadkach na ogół giną mężczyźni, akt ślubu ma za zadanie zabezpieczyć także przyszłą wdowę na wypadek śmierci męża. Czyżby tu swat słabo się spisał?



Wreszcie, niestety, lotnisko. Dowiaduję się, że w strefie wolnocłowej nikt rupii nie honoruje, trzeba je przed odprawą wymienić. Kantorów jest kilka, ale każdy akurat „ma przerwę”. Więc przepuszczamy ostatnie rupie w strefie przed odprawą, gdzie dziwnym trafem są wyłącznie sklepy z rękodziełem artystycznym. Ot, taka promocja kraju na do widzenia ☺. Ale i tak jest to o niebo lepsze niż Tunezja, gdzie bezczelny celnik ograbił nas z uśmiechem na ustach niemal z połowy lotniskowych zakupów. Po odprawie mamy jeszcze prawie dwie godziny do odlotu, sklepów w strefie wolnocłowej jest dużo więc, cóż, niech żyje ostatni szal zakupów. Nie kojarzę, co kupiła sobie reszta rodziny, ja nabyłem 2 t-shirty z motywami słonia i 3 butelki araku, głównie z myślą o prezentach.

Wreszcie, po pokonaniu lotniskowych procedur (gorszych niż na Okęciu) sadowimy się w Dreamlinerze. Ty razem obsługa lotniska zadbała, aby wszystkie dzieci i ich rodziny usadzić w pierwszym rzędzie klasy ekonomicznej, w którym jest trochę więcej miejsca na nogi. Oraz udogodnienia w postaci możliwości rozłożenia kołyski dla niemowlaka, z czego moi sąsiedzi z rzędu korzystają. Lot ciągnie się w nieskończoność. Tym razem lecimy za dnia i nie odczuwam potrzeby drzemki. Jedyny fajny bezpłatny

film już obejrzałem. Zachwyty wzbudzają tylko widoczne z samolotu góry Kaukazu. Czegoś tak majestatycznie pięknego nie widziałem jeszcze nigdy. Tak, to MUSI stać się celem jednej z kolejnych wypraw...



Hambantota, Negombo, Warszawa, 26 listopada 2013 – 03 stycznia 2014

Piotr Gortatowicz